Nr. 22. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 1 czerwca 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

KWESTJA SŁAWIAŃSKA.

„La Correspondance Slave“ w Nr. 42 z 25 maja b. r. przynosi na naczelnem miejscu ważny artykuł p. t. „La réconciliation de la Russie et de la Pologne“ którego obowiązek milczeniem pominąć nam nie pozwala.

Stojąc zawsze pod sztandarem polskich uczuć i polskich zasad nie jesteśmy jednak zdania, aby słusznym było i pożytecznym trzymać się zawsze téj zużytéj a częstokroć nadużytéj rutyny, która dążyła nieustannie do wydzielania się z pokrewnéj nam społeczności sławiańskiéj a natomiast plątała nasze losy i widoki z cięciwą łacińsko-germańskiéj Europy wyzyskującéj naszą ślepotę i dobrą wiarę, lub też tępiącéj nas z żelazną konsekwencją. — Z ręką na sumieniu możemy sobie powiedzieć, że setny rok pokuty poczynamy pod nader świetną wróżbą. Wiele bardzo prac na polu umysłowego i materjalnego rozwoju, o których dotąd ogólnikowo tylko bajano, zostało wprowadzonych w wykonanie tak statecznie i stanowczo, że realnego postępu na téj drodze nie śmieją nam zaprzeczyć najzaciętsi wrogowie naszych przyrodzonych praw i naszéj narodowości — Niemcy.

Nie zaślepiajmy się jednak jednostronnem powodzeniem, lecz idźmy daléj — coraz daléj.

Polityka była zawsze i jest niestety dotąd słabą naszą stroną, pomimo że ją zaczynamy uprawiać już na ławach szkólnych — może nawet właśnie dla tego. Wyemancypujmy się zatem od szkolnictwa w téj mierze, nie karmmy naszéj polityki tem, czem się karmią chodowane słowiki — siekanką serca. —

Polityka nie jest ani teorją ani rutyną lecz artyzmem, sztuką polegającą na bystrem orjentowaniu się pośród powikłanych sytuacji, sztuką wyzyskiwania przedstawiających się kolejno okoliczności i korzystania z tego co daje duch czasu.

Jeżeli zgodzimy się na tak sformułowane pojęcie polityki, to po rozejrzeniu się dokładnem w otaczającéj nas sytuacji przyznać musimy, że prowadząc nadal naszą narodową nawę w tym co dotąd kierunku osiedlibyśmy niechybnie na mieliźnie.

Porzućmy uprzedzenia zasadzające się na sympatji i antypatji a rachujmy się zimno, spokojnie, bez wykrzykników i deklamacyjnego bombastu, z tym co dają bieżące stosunki.

Rachunek taki nie zobowiązuje nas do niczego — przyjąć lub odrzucić go możemy każdéj chwili, tak jak z nami postępowano na zachodzie.

Zachód, Francja!... Starajmy się zapomnieć o tym najsmutniejszym perjodzie sentymentalnéj polityki — przyznajmy się solidarnie do naiwności i my, cośmy wierzyli, i my, cośmy w braku cywilnéj odwagi, klepali za panią matką pacierz — miejmy tyle taktu żeby milczeć. —

Niemcy — ostatnie ich słowo słyszeliśmy z ust ks. Bismarka i hr. Eulenburga — brzmi ono „Zagłada“.

Austrja — daje nam „pół-bytu“ pod systemem protekcjonalnym ludzi zatartéj narodowości i oszustów giełdowych — to gorzéj niż zagłada.

Rachunek z powyższemi firmami zamknięty, rozdarty i rzucony do kosza na wieki.

Pozostaje nam praca domowa, pilne i wytrwałe uprawianie ducha, którego piekło stuletniéj niewoli stopić nie zdołało. Naród, który przed wiekiem upadł w rozprzężeniu i niemocy a który po stu latach, po dwóch rzeziach i trzech wyczerpujących do dna powstaniach — staje młody i czerstwy oko w oko z wrogiem i woła: „oto jestem, poznaj mię po moich pracach“ — naród taki ma niezaprzeczone prawo bytu i rękojmię przyszłości. Silny tém poczuciem niezłomnéj siły może on śmiało i bez obawy wchodzić w układy z tymi, którzy mu życzliwą podają rękę.

Rękę tę podają nam nasi współplemieńcy Sławianie. Mieli oni swoje Maciejowice na Kossowém polu

i pod Białogórą — równie jak my leżeli długo w letargu i niemocy, cierpieli jak my, oczyścili swego ducha w cierpieniach niedoli i równie jak my pragną życia, pragną przyszłości. „Łączmy się, wołają do nas, jeżeli nie w imię plemiennych uczuć, to w imię wspólnych interesów, wspólnych dążeń.“ Wzajemne sympatje osłabły pod szatańskim wpływem wspólnych wrogów, siejących z umysłu i systematycznie zawiść i niesnaski, dzielących nas, żeby podzielonych łatwiéj ujarzmić i wytępić mogli.

Na szychowym pasku obietnic i nadziei prowadzi nas Austrja na Czechy, tak jak przedtém Czechów na nas prowadziła.

„Timeo Danaos et dona ferentes.“

Pasek się ściąga według potrzeby i znowu nakłada — dokądże będziemy odgrywać tak smutną i upokarzającą nas rolę chartów na centralistycznéj smyczy?

Głosy takie wzywające nas do opamiętania i wspólnéj pracy, odzywają się ze strony południowych i zachodnich Sławian coraz częściéj, coraz wyraźniéj. Najnowszém ich brzmieniem jest wspomniamy powyżéj artykuł wstępny „Correspondance Slave.“

„Powtarzają się, mówi ta gazeta, coraz to nowe wieści o polsko-rosyjskiéj ugodzie a my dostaliśmy w téj mierze dość ważne wiadomości. Jeżeli sam fakt nie jest zupełnie prawdziwy, to jest przynajmniéj prawdopodobny. Rosjanie i Polacy nie mogą w obecnéj dobie zrobić nic mądrzejszego, jak podać sobie szczerze i stanowczo rękę do zgody, odpowiadając tym sposobem najserdeczniejszym życzeniom całéj sławiańskiéj rasy. W obec coraz to groźniejszego Germanizmu zależy nam wszystkim, aby Rosja, jako jedyne silne państwo sławiańskie, zorganizowała się wewnątrz i stała się punktem oporu wszystkich bez wyjątku narodów sławiańskich, które niechcąc być pochłoniętemi przez Niemców, muszą z konieczności liczyć na Rosję. Sławianie życzą sobie, aby tak Polacy jak Rosjanie okazali dobrą wolę do zgody i przeprowadzili ją spokojnie, uczciwie, na podstawie zobopólnych ustępstw.“

Cytując dosłownie powyższy ustęp z „Corr. Slave“ nie wiele z naszéj strony dodać możemy, przekonania nasze bowiem w tym względzie wyłuszczyliśmy obszernie i jasno w Nr. 17 naszego pisma rozbierając broszurę „Polska i Rosja w 1872 r.“ do którego łaskawych czytelników odsyłamy.

Na zakończenie powiemy tylko, że wielka zachodzi różnica między wzmiankowaną broszurą a głosami sławiańskiego dziennikarstwa. Tam pędził nas autor drogą poddania bezwzględnego w jarzmo, które i tak dźwigamy, tu zaś proponują nam tranzakcję na podstawie godziwéj i możebnéj.

Możebnéj, powtarzamy, i godziwéj, bo inaczéj nazwać nie możemy kombinacji, do któréj wejść możemy z zachowaniem narodowéj godności, bez najmniejszego uszczerbku narodowego honoru, bez konieczności zatarcia cech znamionujących naszą narodową indywidualność. Zerwanie dławiącéj nas chronicznie od lat tysiąca niemieckiéj obroży jest bezwątpienia możebne i godziwe.

Lecz cóż mówi Rosja? — Ostatnim jéj wyrazem był dotąd bizun — nie dziwcie się zatém bracia Sławianie, że w obec takiego argumentu stanowisko nasze zostaje in statu quo.

Zaczepna armja niemiecka skoncentrowawszy się nad Wartą, wysłała flankierów nad Wisłę, Dniepr i Wołgę. Dopóki te pionki nie zejdą z szachownicy, mowy o zgodzie być nie może. Wszak prawda?

Redakcja „Tyg. Wielk.“

O publicznéj i literackiéj działalności JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO

przez

Leopolda Winklera.

(Dalszy ciąg).

Józef Korzeniowski nie był zdania pana Muchanowa, bo bez względu na jego instrukcje, obszernie egzaminował z języka polskiego, literatury, historji powszechnéj i z języków starożytnych, uważając te nauki, jako grunt wychowania humanitarnego. Jeśli znalazł postępy odpowiedne w języku polskim, to okazywał nauczycielowi największy szacunek, a jego uczniów publicznie chwalił i odzywał się do młodzieży temi słowy serdecznemi, które napełniały je radością i skłaniały młodociane ich serca do wizytatora, lubiącego język polski. — Poczém z całą ścisłością egzaminował z łaciny i zachęcał młodzież do pracowania nad nią, powtarzając uczniom, że to jest przedmiot bardzo ważny, bo najprzód na nim kształciliśmy język ojczysty i w tym języku zapoznaliśmy się głównie z chrześcianizmem i cywilizacją, z któréj tak sławni byliśmy w naszéj przeszłości.

Historja wykładaną była w języku rosyjskim. Korzeniowski, mimo instrukcji surowych, nakazujących profesorom wykład w tym języku prowadzić, nakłaniał on sam jedynie profesorów do objaśnienia uczniom faktów znakomitszych po polsku i sam rad był egzaminować w języku ojczystym.

O ile inni wizytatorowie mordowali biednych nauczycieli języka rosyjskiego i historji Rosji o tyle Korzeniowski zostawiał ich w szczęśliwym spokoju, a w sprawozdaniach swoich do kuratora zawsze chwalił wielkie postępy w języku rosyjskim, zwracając tylko uwagę na niemoralne postępowanie nauczycieli Rosjan, które złemi przykładami wpływa niekorzystnie na obyczaje młodzieży.

Zawód wizytatora szkół pozwolił Korzeniowskiemu dać się poznać osobiście krajowi i nastręczył sposobność poznania bliżéj charakterów polskich, co było mu pomocném bardzo w pracach literackich. Tenże zawód z drugiéj strony dał mu możność wywierania wpływu na zakłady naukowe, w których usiłował, wbrew wszystkich instrukcji tamujących, a nawet cofających wszelki postęp, choć w pewnéj części go zapewnić. — Przytoczę tu parę szczegółów, które dowiodą, że chociaż Józef Korzeniowski unikał wszystkiego, coby go jawnie poklócić mogło z rządem carskim, nie był jednakże nigdy tą machiną ślepo posłuszną kuratorom warszawskim, jaką byli wszyscy inni ówcześni wizytatorowie.

W pewnéj szkole elementarnéj, zadowolniony z pracy nauczyciela, przekonawszy się, że dzieci dobrze czytają i nieźle piszą, zapytał jednego chłopczyka: „A jak się nazywasz, moje dziecko!“

Dziecko powiedziało swoje nazwisko, które nie miało polskiego zakończenia.

„A któż jest twój ojciec — czy Niemiec?“

„Nie, panie, odpowiedział chłopiec, mój ojciec jest Polak i ja jestem Polak.“

Korzeniowski wtedy przywołał malca do siebie, pogłaskał go po twarzy i zapytał: „A wieszże ty, co to jest Polska?

„Wiem panie, odpowiedział przytomny chłopiec, to kraj, w którym mieszkają Polacy."

„A któż to są Polacy? zapytał daléj Korzeniowski.

„To są nieszczęśliwi, którzy cierpią za to, że swoją ojczyznę kochają."

„A któż ci o tém powiedział?"

„Moja matka."

Korzeniowski pocałował dziecko, a obróciwszy się do nauczyciela, rzekł: Kobiety polskie, nauczą to młode pokolenie czém jest i do czego dążyć powinno.

Nie omyliłem się w mém przekonaniu, stawiając je tak wysoko i dając im prawie pierwszeństwo przed dzisiejszą męzką generacją, która łatwiéj przy winie i kartach zapomina o swojéj przeszłości, niż te zacne matki Polki, gotowe do najtrudniejszéj dla nich ofiary, do poświęcenia nawet swych dzieci. — Daléj obróciwszy się do dzieci dodał: „Uczcie się dobrze, to w nagrodę nauczyciel będzie wam opowiadał o Polsce i o Polakach — czém byli, a czém są dzisiaj i czém być jeszcze mogą, jeśli będą kochali wszystko, co jest polskie i jeśli będą wzajemnie się miłowali, a przedewszystkiém szanowali pracę i porządek.

W pewném gimnazjum, w jednéj z klas niższych, przy egzaminie z jeografji, gdy koléj przyszła na królestwo polskie, rozumie się Kongresowe, Korzeniowski kazał uczniowi pokazać granice na karcie. Uczeń, pokazując linją, mówi: Polska graniczy na północ i zachód z Prusami, na wschód z Rosją, na południe z Austrją, czyli inaczéj mówiąc Polska graniczy z Polską. Tu nauczyciel jeografji zamieszany, chciał przerwać uczniowi.

„Dajże mu pan pokój, odezwał się, z właściwą sobie łagodnością, Korzeniowski, po co uczyć dzieci kłamstwa, ktoś mu dobrze powiedział." Następnie obróciwszy się do śmiałego chłopaka rzekł: „Tak moje dziecko, mówisz prawdę, ale zkądże wiesz o tém?" Tu chłopiec domyśliwszy się, że coś niepotrzebnego powiedział, spojrzał na nauczyciela, zaczerwienił się i nie wiedział, jak odpowiedzieć. Korzeniowski ucznia pogłaskał, nauczycielowi rękę ścisnął w wymownéem milczeniu, a obróciwszy się do uczniów rzekł: „Tak, kiedyś była Polska wielką, potężną, — potém upadła, bo w niéj moralność upadła była; dziś już jest lepiéj."

Pośród takich zajęć i usiłowań, Józef Korzeniowski doczekał się dwóch wypadków, bardzo wielką rolę w jego życiu odgrywających. Pierwszym była ostra, choć w niektórych względach potrzebna krytyka, nietylko jego dzieł, ale i zawodu publicznego, napisana przez Juljana Klaczkę, drugim wypadki, wstrząsające całym porządkiem, utrzymywanym przez carskie rządy w Polsce.

Car nie chcąc dać uniwersytetu Warszawie, najmiłościwiéj zbudować raczył akademję medyczną, raz, ażeby tym czynem dać dowód najwyższéj łaski Polakom i podziękować za spokojne i przykładne zachowanie się w czasie wojny krymskiéj, powtóre, ażeby jak najprędzéj zapełnić brak lekarzy w pułkach, jaki okazał się po téjże wojnie.

Muchanow i Cycuryn, prezydent akademji, tak wielką i niezasłużoną uważali łaskę dla buntowniczego ducha Polaków, że nie chcieli akademji przyznać nawet tych przepisów, jakiemi rządziły się wszystkie uniwersytety w państwie moskiewskiém. — Przygotowano ustawy, krępujące nietylko ciało mundurami, szpadami i stósowanemi kapeluszami, ale nadto i ducha. Nadano bowiem przepisy, niewiele różniące się od tych, jakie miały dzieci w gimnazjach i szkołach powiatowych. Poczyniono bezzasadne obostrzenia, aby mieć o co przyczepić się do młodzieży, któréj nie ufano; — kiedy bowiem cesarz Aleksander przybywszy do Warszawy, odwiedzić raczył akademików i z właściwym sobie fałszem zaczął im grzeczności prawić, oni jedni — oni tylko sami umieli się znaleść z taktem godnym młodego pokolenia wielkiego narodu, bo — z wymownéem milczeniem.

Takie zachowanie się akademików, taka niewdzięczność oburzyła i zgrozą przejęła wdzięczne serca Muchanowa i Cycuryna, nadto stała się przyczyną głębokich pomysłów, któreby doprowadzić mogły do zniszczenia dzieła carskiéj wspaniałomyślności.

Młodzież odważnie zaprotestowała przeciw kajdanom moralnym, gorszym stokroć od fizycznych, — a następstwem jéj kroku było tłumne opuszczenie akademji. Większa część rozjechała się do uniwersytetów państwa rosyjskiego najwięcéj do Kijowa, inni wysiedziawszy w więzieniu, wypuszczeni, spiesznie wymknęli za granicę.

Warszawa zaczęła się budzić!

Warszawiakom oczy zaczęły się otwierać! Sen był długi — letargiczny. Po śnie i odpoczynku poczuto siły — i Warszawa zaczęła myśleć, — a za nią kraj cały postępując, był w następstwie wiernéem odbiciem wszystkich jéj myśli i czynów.

Co Józef Korzeniowski myślał i mówił o postępku akademików?

Tak mówił, a zapewne i myślał, jak wszyscy prawie wówczas starsi, doświadczeńsi i poważni tak wiekiem, jako i nauką mężowie.

A — szaleńcy! dzieci! gubią wszystko. Dał Bóg lepsze czasy, nie chcą ich. Odpychają rękę, która, przez dobroć szlachetnego serca, pragnie dźwignąć kraj z upadku.

Tu wypada mi dać krótki obraz charakteru Józefa Korzeniowskiego pod względem politycznym.

Józef Korzeniowski był dobrym Polakiem, kochał ojczyznę, bo jakże można sądzić inaczéj? — Przeczytajmy wszystkie jego powieści, jego dramata, — wszędzie znajdziemy tę miłość ziemi rodzinnéj, tę miłość wszystkich cnót narodowych, to poszanowanie matek naszych, sióstr i żon naszych, — to nawet, może już zanadto zbyteczne pobłażanie niektórym usterkom naszym. Niekiedy wprawdzie chłoszcze nas, — nie ręką wszakże surowego ojca, który choć sam boleje, ale karze, bo ma na celu poprawę syna, — lecz ręką matki, słabnącą z bólu, jaki serce czuje; — poczém następuje płacz matki i dziecka: dziecko obiecuje poprawę, a matka płacząc gniewa się na siebie, że dziecko karała i w duszy przyrzeka, że już nigdy tak surową nie będzie.

Jest to słabość w autorze, w dramaturgu, w powieściopisarzu. Nie jest to hart męzki — zgoda; lecz człowiekowi takich usposobień, nikt nigdy miłości ojczyzny zarzucić nie może.

Józef Korzeniowski kochał ojczyznę tak, jak po największéj części wszyscy w jego wieku ją kochają. — Był człowiekiem zasad zachowawczych; póki był młodym, był więcéj śmiałym, gotowym do czynów i poświęceń. Dowodzi tego jego uwięzienie po wypadkach 1830 r. kiedy był profesorem w liceum krzemienieckiém. Doszedłszy do lat starszych, zrobił się konserwatystą, przekładającym już nawet stan smutny obecny, aby tylko nie było gorzéj. Ztąd jego obawa i niechęć gdy dostrzegł, że młodzież coś poczyna, i strach okropnych następstw, ztąd jawne krzyki przeciw lekkomyślnéj młodzieży i napomnienia surowo jéj czynione. Wszystko to młodym agitatorom podobać się nie mogło i zniechęciło ich jeszcze więcéj do człowieka, będącego w gruncie takim, jakimi byli wszyscy starsi i doświadczeni. — Jednéem słowem Józef Korzeniowski jest najlepszym wizerunkiem naszych ojców, których dobrze

znaliśmy, że ojczyznę kochali, ale ją kochali po swojemu, a z nami w parze już iść nie chcieli, bo nie mogli: już sił nie mieli i nie pojęli celu, do którego dążyliśmy. — Czém my będziemy za lat 20 lub 30 względem nowego pokolenia? —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SIOSTRZENICA KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Powieść ze świeżych zdarzeń

napisana przez

Michała Bałuckiego.

(Dalszy ciąg.)

IV. Nieczyste dusze.

— Tak? Więc religja jest dla was rodzajem płaszcza, który przywdziewacie na chwilę — a zrzucacie, kiedy wam zawadza. —

— Mój drogi, co jest religja — o tém ja z tobą dysputować nie będę — od tego jest ksiądz Albin. — Ja tylko wiem tyle, że kiedym się urodził katolikiem, tom powinien wypełniać to, co mi kościół katolicki nakazuje. I tobie radzę to samo robić. — Po co ci się narażać na złe języki? Już i tak po wsi gadają o tobie, żeś niedowiarek, heretyk. Tak ksiądz Albin matce powiada. — I na co ci tego? Choćbyś nawet nie wierzył w to wszystko, to cóż ci szkodzi udawać dla miléj zgody. Wieluż to tak robi? — Hrabia Adam tak wierzy w Pana Boga, jak ja w tureckich świętych, na ołtarzu by w stosika grał bez skrupułu, a jednak dla oka jest przykładnym katolikiem, należy do wszystkich stowarzyszeń ultramontańskich i ma w téj partji poważanie. — Wierz mi, że ateuszostwo dziś nie w dobrym tonie. — Dziś religja jest oznaką dobrego urodzenia — a ulica tylko bawi się w niedowiarków. —

— Źle apostołujesz mój kochany — odrzekł August z pobłażliwym uśmiechem — to, czém mnie chcesz pociągnąć do waszéj wiary, odstręcza mnie tylko od niéj. — Komedji grać nie chcę przez szacunek, jaki mam dla religji. —

— Szacunek — cóż mi za szacunek, gdy do kościoła nie chodzisz. —

— Bo nie mam tu kościoła mojego. —

— Jakto? —

— Wiara moja nie jest waszą. Jestem protestantem. —

Koń Zenona nie skoczył z takim przestrachem na widok białéj sukienki Anetki, jak Zenon na te słowa.

— Ty protestant? — Bój się Boga, nie wygadaj się z tém przed nikim. —

— Dla czego? — spytał August. —

— A tożby moja matka umarła ze zgorszenia, gdyby się dowiedziała, że we własnym domu gości innowiercę. — I tak mi już głowę suszyła, bym cię jako heretyka oddalił, zapłaciwszy koszta złamania kontraktu; ale wyperswadowałem jéj, że o takiego technika jak ty trudno, że fabryka już rozpoczęta, że wreszcie może się nawrócisz. A tu tymczasem dowiaduję się, żeś ty protestant. — No, dopiérożby my się mieli obaj pysznie, gdyby się matka i ksiądz Albin o tém dowiedzieli. A widzisz, ja nie radbym się z tobą rozstawał. Więc radzę ci, nie wydawaj się z tém przed nikim.

— Głosić jawnie przed wszystkimi moich zasad religijnych nie widzę potrzeby; ale ukrywać się z niemi, a co gorsza wypierać się ich nie myślę. —

Więcéj nad tę obietnicę Zenon nie mógł wyprosić u Augusta pomimo przedłożeń i namowy. — August pod pozorem zatrudnień pożegnał swego kolegę i poszedł do fabryki. —

Nad wieczorem był znowu na plebanji. Anetka była podczas wieczerzy bardzo roztargniona i zamyślona. August uprzejmy i rozmowny, jak nigdy przedtém. Gdy się rozchodzić mieli i Anetka wstała aby przejść do swego pokoiku, August wziął ją za rękę i żegnając zatrzymał tę rączkę dłużéj niż zwykle w swoim ręku. — Patrzał przytém na nią dziwnym jakimś wzrokiem, że Anetka zarumieniła się po uszy. —

Po jéj odejściu August długi czas jeszcze rozmawiał z księdzem proboszczem.

Na drugi dzień ksiądz proboszcz oświadczył Anetce, że August prosił o jéj rękę. —

— Ja z mojéj strony — mówił daléj — niemiałbym nic przeciwko temu małżeństwu. August jest człowiekiem prawym i pracowitym. Los twój i szczęście byłoby zapewnione; ale to głównie od ciebie zależy. — Tu serce twoje decydować powinno. — Czy kochasz pana Augusta? —

Pytanie to zmieszało Anetkę. Sama jeszcze nie zdała sobie nigdy sprawy z tego, jak nazwać to uczucie, które miała do Augusta. Dawniéj zdawało się jéj, że to miłość, dziś nie była pewną tego. Na powtórne zapytanie księdza odpowiedziała, że potrzebuje się namyśleć, a przedewszystkiém zaradzić ojca. A że ojciec właśnie dzień przedtém wybrał się na odpust do Częstochowy, odłożyła więc stanowczą odpowiedź do jego powrotu. — Ksiądz uważał to wahanie za zwykłą formalność, któréj zwykły chwytać się panny w stanowczéj chwili, by nie być posądzonemi o zbytną chęć zamążpójścia i powiedziawszy na drugi dzień Augustowi o decyzji Anetki, zapewniał go o pożądanym skutku. —

— Czy mówiłeś ksiądz z nią względem mojéj religji? — spytał August. —

— Nie, uważałem to za zbyteczne. — Anetka nie jest dewotką, sądzę więc, że to nie będzie miało dla niéj znaczenia. — Mężczyzna zmienia religję z przekonania, kobiéta ją zmienia najczęściéj z miłości, jeżeli więc Anetka cię kocha, nie będzie miała pod tym względem skrupułu. — Zresztą o cóż chodzi? W zetknięciu się dwóch różnych wyznań to, które ma prawdę za sobą, zwyciężyć musi, bo prawda ma siłę atrakcyjną. Wiara więc na tém zbliżeniu się dwojga ludzi miłujących się nie ucierpi, ale zyska. — Takie jest moje przekonanie.

— Szkoda, że ono nie jest przekonaniem wszystkich. Ludzkość wtedy nie przechodziłaby przez tyle boleści, wojen, zatargów. —

— Mój drogi panie Auguście — to co się stało, stać się musiało. Każda prawda zanim zyska prawo obywatelstwa, musi mieć swoich męczenników.

Słowa te musiały myśli księdza naprowadzić na smutne drogi, bo zasępił się i zamilkł. Po chwili wrócił znowu do dawnego przedmiotu i mówił:

— Rad jestem, że zobaczę zawczasu szczęście Anetki ustalone. Dobra to dziewczyna, serce poczciwe;

tylko brak jéj zasad i praktyczności. — Młoda duszka jéj buja samopas. Nic łatwiejszego, jak sprowadzić ją na bezdroża. — Bałem się zawsze tego, nie będąc pewny, jaka przyszłość ją czeka. Dziś jestem o nią spokojny. Pod kierunkiem takiego, jak ty, panie Auguście, człowieka, Anetka wyrobi się na kobiétę w całém znaczeniu tego słowa, bo grunt u niéj poczciwy. — Przekonałem się o tém patrząc na jéj postępowanie w ochronce. Są w niéj piękne instynkta kobiéce. Główka trochę obałamucona czytaniem i dziwaczném wychowaniem, ale to się łatwo da przerobić. Rozpocząłem z nią tę pracę, ale bałem się w każdéj chwili, że mi okoliczności nie pozwolą jéj skończyć. Teraz jestem spokojny, bo ty mnie zastąpisz. —

— Jakichże okoliczności ksiądz się obawiałeś? —

— Burza wisi nademną. Bóg widzi, że sumiennie uprawiam winnicę pańską i w pocie czoła pracuję; ale krety nurtują podemną i psują robotę. Ot wczoraj wzywano mnie do konsystorza, abym się oczyścił z zarzutów, które mi czyniono. — Tym razem wyszedłem cało, bo żaden z oskarzycieli nie miał czoła stanąć mi do oczów; brakło świadków, wyjąwszy księdza Albina, którego jednak świadectwo z powodu dawniejszych jego sprawek, za niedostateczne uznano. Wyszedłem więc cało z téj sprawy; ale kto wié, czy to na długo. Nieprzyjaciele moi są czynni, nie dadzą mi spokoju. Lada chwila mogą mnie ztąd wysadzić, posłać w góry na jaką lichą plebanijkę, albo nawet na rekolekcje. — Nie obawiam się tego dla siebie, ale dla tych, którym potrzebny jestem na świecie. —

— I jakiż powód tego prześladowania? — spytał August.

— Dla tego, że nie chcę obałamucać ludu, że fanatyzmu i dewocji nie uważam za religję, że nie biorę formy za treść. Zarzucają mi, iż gorszę lud, że go odwodzę od religijnych praktyk. — Odparłem zarzuty słowami pisma św., a gdym zażądał, aby mi pokazano kogom zgorszył, nie umiano mi takich pokazać. Sprowadzono kilku chłopów, ale świadectwo ich potępiło tylko moich oskarzycieli. — Mimo to dostałem napomnienie ostre od konsystorza i zagrożono mi utratą probostwa, jeżeli będę zaprowadzał reformy, których kościół katolicki nie uznaje. — Z całego toku téj sprawy widzę, że się tu długo nie ostoję. — Dla tego radbym przedtém widzieć los Anetki zabezpieczony. Jeżeli więc panie Auguście możesz — to przyspieszymy ślub i pomyślimy o tém zaraz po powrocie ojca Anetki. — Zdaje się, że wróci za dni kilka. —

August również chciał tego, i on bowiem nie wiedział, czy długo w Wybrzeżu się utrzyma w obec wyraźnéj niechęci pani Beaty, a że mu jego dawny profesor proponował korzystną posadę przy przedsiębiorstwie budowy nowych domów w Wiedniu, miał więc zamiar wrócić tam znowu. — Ułożono więc, że niezwłocznie po powrocie starego Majera ślub się odbędzie w razie zezwolenia ojca i córki. —

Ksiądz proboszcz nazajutrz uwiadomił o tém Anetkę, nie ucieszyła się jednak tą wiadomością tak, jak się tego spodziewał. Odwołała się znowu na ojca. Pomimo przychylności, jaką czuła dla Augusta, zrażał ją do niego sposób, w jaki okazywał jéj swoją miłość. Potrzebowała silniejszych, więcéj drażniących nerwy objawów téj miłości. — Spodziewała się silnych wrażeń, przygód, niezwyczajnych wydarzeń, jakie wyczytała w książkach; tymczasem Augusta proste i zwyczajne postępowanie pozbawiało ją tego całego świata złudzeń, niepokojów i rozkoszy miłośnych. Czuła się pokrzywdzoną. — Dla tego nie mogła się zdecydować na stanowczą odpowiedź, choć o odmowie ani myślała. — Chciała tylko przedłużyć przedślubny perjod, który miał dla niéj tyle uroków i odwlec prozaiczny akt małżeństwa. Była podobną w tym względzie do podróżnego, który znalazłszy wśród drogi rozkoszny gaj, pełen chłodu, zapachu, zieloności — nie ma chęci wyjść na słońce i błądzi po gaju i odpoczywa — opóźniając się w drodze. — Tak i ona nie spieszyła się, zwłaszcza, że była pewną, że kiedyś dojść musi do tego celu.

Zaszła jednak mała okoliczność, która tę pewność zachwiała. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIOSENKA
dla panny Kazimiry P.

Śpij serduszko, śpij,
Sny spokojne miej!
Śpij, jak dziecię śpi,
W kolyseczce swéj.

Na pościeli z róż,
Błogo będziesz śnić!
Boże! wszak ci już,
Pierś zaczyna bić...

Wciąż kołace tak,
I opływa łzą;
Czy ci czego brak,
Co chcesz serce, co?

Piosnkę niosę ci,
Na spokojny sen,
Tylko powiedz mi,
Skąd niepokój ten?

Noc jak skrzydłem ptak,
Otuliła cię...
Skąd ci wcześnie tak
Przyszło budzić się?

I tak rychło dość,
Rozbudzi cię świat...
Daj pączkowi wzrość,
Nim wystrzeli w kwiat!

Próżno słowa me
Rzucam w nocy cień.
Serce budzi się,
Bo przeczuwa dzień.

Wł. Bełza.

OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Mamo najdroższa! — przerwała Pola już głosem łez pełnym, — jeżeli mama ma litości cokolwiek nademną, niech mama przestanie. Ja nie chcę Adamskiego... nie... nie...

— Nawet gdyby tego dla mojego szczęścia, dla mojego życia było potrzeba?

— Jakto?

— Widzisz moje dziecko jak ja ciężko chora jestem... życie na wsi zabija mnie — a jednak póki ty za mąż nie pójdziesz, ja mieszkać tu muszę.

— Dla czego? Kto nam broni wyjechać?

— Brak funduszów, konieczność doglądania gospodarstwa.

Łatwo było na ten dziecinny odpowiedzieć argument, ale Pola nie miała wyobrażenia o interesach. Milczała więc.

— Rób jak chcesz moje dziecko — dodała wstając pani Zofja — ale pamiętaj!... Sama odpychasz szczęście, a biedną twą matkę... — i wybuchając głośnym płaczem, szybko wyszła z pokoju i tylko we drzwiach wśród łkań dodała:

— Nie takiéj nagrody spodziewałam się od jedynaczki mojéj.

W pierwszéj chwili Pola porwała się. Anielskie jéj serce rozdarło się na widok tych łez i wyrzutów matki. Wyexaltowana wyobraźnia błysnęła obrazem ofiary. Chciała się rzucić na szyję matce, chciała powiedzieć, że pójdzie za Felunia... Ale sił jéj brakło. Dreszcz nią wstrząsnął na wspomnienie naszego znajomego, a w téjże chwili przed okiem ducha stanął Artur, Artur smutny, z cichym na twarzy wyrzutem.

— Nie!... nie!... to nad siły, — zawołała biedna dziewczyna, i bezsilnie padła na kanapę.

I tak wpół leżąc długo siedziała biedaczka, a po jéj śniadych policzkach łzy płynęły jak ciche rosy krople. Była to pierwsza, ciężka, bolesna walka w jéj życiu. W duszy téj istoty pieszczonéj a namiętnéj, wszystkie uczucia grały namiętnie.

Miłość dla matki i miłość dla kochanka ścierały się w tém dziewiczém serduszku i rozdzierały je bez litości. Miłość przeważała siłą, potęgą i poczuciem prawa, ale wzgląd na matkę miał w sobie coś religijnego.

— A jeżeli mama zachoruje?... jeżeli?... i blada, prawie w obłąkaniu porywała się gorączkowo, szepcząc nieprzytomnie:

— Tak... tak... trzeba... obowiązek.

Ale w téj chwili Artur przed nią stawał i wtedy łamiąc ręce siadała znowu wołając z rozpaczą:

— Nie!... nie mogę... nie mogę...

Wtém drzwi się otworzyły i w nich ukazała się babcia. Tego było biednéj dziewczynie potrzeba. Rzuciła się naprzeciwko staruszki, posadziła ją na kanapie, klękła przy niéj i tuląc często twarzyczkę do jéj kolan, łkając jeszcze i płacząc opowiedziała wszystko.

— Moje ty biedne ptaszątko, — zawołała płacząc także i gładząc włosy wnuczki staruszka, — więc ty tamtego kochasz?

— Oh! nad życie babuniu.

— A on ciebie?

— Nie wiem, zdawało mi się...

— I mnie się zdawało, bo jakżeby mógł nie kochać!... alle on pojechał Bóg wié gdzie, i ani słowa nie powiedział...

— To prawda babuniu...

— A to bałamut...

— Podobno się zmienił...

— Tak... niby... ale zkąd téj Zosi ten niedojda przyszedł do głowy! bo to ni do Boga, ni do ludzi...

— Nieprawdaż babuniu?

— No, ale widzisz moje dziecko i on ma swoje zalety — bogaty podobno!...

— Oh! czyż i babunia przeciwko mnie?

— Nie... nie... ja także twego Karlińskiego lubię, taki jakiś... tęgi chłopiec... jakby stworzony na wojskowego... chcę ci tylko widzisz wytłomaczyć, że i matka ma rację po części...

— Ach mój Boże! kiedy ja go nie kocham... kiedy...

— No to prawda... to argument — mówiła półżartem staruszka — ale jak tu na to poradzić? Ty wiesz, jaka matka uparta... a co gorzéj, to i ten ryś podobno ją podburza...

— Oh! pewnie, babuniu!...

— Niezawodnie!... widziałam ja, jak on się cmokał z Adamskim.

— Cóż ja pocznę nieszczęsna? — i znów płakać zaczęła Polcia.

— Cyt... cyt... dzieciątko, niema przecież nic straconego jeszcze... ja będę matce tłumaczyć, tylko trzeba powoli... delikatnie... bo to słaba kobiéta... zwlekać... odkładać... może się też ten Karliński zjawi, boć on długo nie wytrzyma, a matka da się przekonać.

— Oh... mój Boże... żebyż się to stało...

— No... no... stanie się... stanie, a teraz sza... bądź spokojna, obmyj sobie oczki, wypogódź czółko... nie ustępuj... ale się nie spieraj... Da Bóg wszystko będzie dobrze...

Słowa te uspokoiły nieco Polę. Zresztą młodość nie łatwo traci nadzieję, i jak stalowa sprężyna, zgięta w pałąk, prostuje się szybko; z latami dopiéro sprężyna się osłabia, a raz zgięta, niema już siły by do dawnego wrócić stanu.

Tak więc pod dachem starowiejskiego dworu znów rodzina rozbiła się na dwa obozy i rozpoczęła się walka cicha i prawie milcząca, ale niemniéj zawzięta i pełna dramatyczności. Po jednéj stronie wytrawny znawca serc ludzkich, kobiéta słaba i dobra, ale silna charakterem matki i uporem, który jest zwykłym atrybutem miernych umysłów i serc samolubnych — z drugiéj staruszka i dziewczę rozegzaltowane głębokiem uczuciem.

Pani Zofja, któréj z początku także się Feluś nie bardzo podobał, raz się na projekt męża zgodziwszy, podrażniona oporem córki, przyjęła ten projekt za swój własny i na tę drogę wszedłszy, coraz więcéj w siebie wmawiała, że na tym związku polega szczęście jéj córki i jéj własny spokój. Gdyby szanowna dama była się nauczyła badać i sądzić własne swe uczucia, byłaby z przerażeniem zapewne i ciężkim wyrzutem sumienia dostrzegła, że tylko czysty egoizm, nadzieja wygodnego w mieście życia, głównie za Adamskim przemawiały. Ale zkądże ona miała posiadać tę trudną i rzadką sztukę rozbierania i sądzenia bezstronnie własnych pragnień i żądań? W słabéj téj i rozpieszczonéj kobiécie samolubstwo było tak rozwinięte, że z najlepszą wiarą sądziła, iż to co jéj dogodne, musi być dobre i dla córki. Usposobienie to podsycał naturalnie bardzo sta-

rannie Piotrowicz, uderzając po kolei w różne słabe strony żoninego serca.

— Widzisz — mówił, dowiedziawszy się o odmowie Poli — widzisz! zawsze mówiłem, że takie wychowanie najgorsze sprowadzi skutki za sobą... Dziś ona siebie i ciebie gubi... Co to jest, żeby córka opierała się radom matki!... Ty myślałaś, że się pieszczotami zyskuje serce dzieci.., Masz dowód, jak cię twoja jedynaczka kocha. Moje córki naprzykład... trzymałem ostro, to też mnie słuchały... Józia poszła za Mokrzyckiego... stary był, ale miał grosze... dziś kontenta... dziad umarł a grosze zostały... a Flora?... także się niby krzywiła na tego bałwana Bucikowskiego... powiedziałem „byt' po siemu“ i poszła... a teraz się w powozie rozpiera i kontenta także... Ale pieścić, płakać... a cackać się... masz teraz rezultaty... Moje dzieci, choć ostro chowane, więcéj mnie kochają, jak twoja jedynaczka ciebie.

Słowa te zdaniem pani Piotrowicz niezupełnie niesprawiedliwe, do rozpaczy ją przyprowadzały. Jéj córka ją nie kocha, jéj jedyne dziecko nie chce iść za jéj radą!... to okropnie!... Innym znów razem zobaczyła męża mocno zaniepokojonego.

— Co ci jest? zapytała.

— Co?... a to to, że przez was człowiek życia się pozbędzie.

— Jakto?

— Jak?... a bardzo naturalnie... Te osły... te warjaty... gotowi naprawdę doprowadzić do jakich nieporządków... a wtedy dziękuję być na wsi... przyjdzie Moskal i będzie darł, przyjdzie powstaniec, i dawaj jeść, pić i pieniędzy, a w końcu jeden albo drugi powiesi lub spali...

— Ależ mój Boże!... to wyjedźmy!

— Tak?... dobra rada... warta głowy!... będę się z całym taborem bab włóczył... Żeby nie ta głupia Pola to naturalnie żebym cię zabrał i pojechał do jakiego cywilizowanego kąta, gdzie szanują własność i życie... Ale co mnie tam!.. zostawię was tu wszystkich a sam sobie wyjadę... Mnie życie droższe jak wszystko...

Groźba ta była okropnym dla pani Zofji ciosem. Śniły jéj się same rzezie i pożary, widziała tylko krwawe obrazy gwałtów i rabunków... Zdawało jéj się, że już dom w Staréj wsi spalony, że ona leży gdzieś pod lasem sama, że ma jakąś gorączkę, a doktora przy niéj niema... Imaginacja, nie hamowana ani rozsądkiem ani pracą, podsycana ciągle przez męża, zaczęła naprawdę źle wpływać na limfatyczny temperament pani Zofji, i w tydzień może po rozmowie z Polą, matka jéj położyła się w łóżko. Była to niezmiernie bolesna dla Polci próba. Dopóki matka chodziła i chmurzyła się na nią, dopóty i ona dzielnie się trzymała... Zapanował między niemi pewien chłód, ale do żadnéj sprzeczki nie przyszło. Mało ze sobą mówiły a o Felusiu wcale. Westchnienia matki i jéj przycinki znosiło dziewczę w milczeniu i z pokorą, wiedząc, że pierwsze są sztuczne a drugie niesłuszne.

W ciągu tego czasu majorowa próbowała przekonywać córkę, ale jéj się to nie udało zupełnie. Owszém, dostała formalną burę, dowiedziała się, żo do takich rzeczy nie powinna się wtrącać, bo się na nich nie zna, że ona buntuje tylko wnuczkę przeciw córce choréj i nieszczęśliwéj, a która najlepiéj wié, czego jéj dziecku do szczęścia potrzeba.

Sam jednakże Piotrowicz zaczął się niepokoić tym spokojnym, biernym, cichym oporem pasierbicy, bo wiedział doskonale, że on trudniejszy do złamania od gwałtownych wybuchów.

Gdy jednak pani Zofja zasłabła, Pola znów się zachwiała. Było bowiem w téj dziewczynie owo coś, co to niektórych ludzi pcha fatalnie do nadluzdkich ofiar i poświęceń, byle oszczędzić smutku tym, których kochają. Zobaczywszy matkę w łóżku dziewczę tak się przeraziło, że o mało nie padło na jéj piersi i nie przyrzekło wszystkiego.

Ale zobaczywszy ją matka, rzekła:

— Widzisz Polciu... to z twojéj przyczyny...

Ten wyrzut tak krzycząco niesprawiedliwy oburzył i ochłodził dumną i wrażliwą dziewczynę... Jakto?... to ona winna?... ona?!... którą chcą wbrew jéj sercu wydać za kogoś tam?... ona? która chciała tak straszną zrobić ofiarę?

— Oh! mamo!... zawołała i chciała dodać: to się nie godzi! ale się wstrzymała.

Zresztą Pola była oswojona trochę z chorobami imaginacyjnemi matki i nie przywiązywała do nich wagi zbytecznéj. Natomiast Piotrowicz, który zwykle szydził z cierpień żony, obecnie, wziął je niby bardzo na serjo. Sprowadzał doktora za doktorem, w obecności Poli wzdychał i szeroko rozprawiał o wpływie zabójczym moralnych cierpień na organizma osłabione.

Tak w téj cichéj walce upływały dnie i tygodnie. Pola trzymała się ciągle, ale milczała i smutniała bardzo. Ten spór bolesny z ukochaną matką, to życie na stopie wojennéj, przygniatały ją i drażniły jéj pojęcie o rodzinném życiu. Z drugiéj strony milczenie Artura, brak wszelkiéj o nim wiadomości, do rozpaczy ją doprowadzał. Często wieczorem, sama w swoim pokoiku, zmęczona i bezsilna, siedziała na łóżeczku i ściskając główkę wołała z rozpaczą:

— On mnie chyba nigdy nie kochał!...

Albo znów gorączkowo chodząc po pokoju, z załamanemi rączkami, skarżyła się w duchu na jego obojętność i potém wynajdywała argumenta na jego uniewinnienie. Mój Boże! ileż to westchnień gorących, ile modlitw łzami rozświetlonych wzniosło się jak ofiara Abla z małego klęcznika. Czuła ona, że wszystkiemu czoło stawić potrafi, byle wiedziała, że on ją kocha — ale na myśl, że o niéj zapomniał, czuła taką czczość i próznię w sobie, jakby ją duch opuścił.

W owych chwilach ciężkich, które młodą i wesołą dziewczynę przemieniały na smutną i poważną kobiétę, jedyną jéj powiernicą była poczciwa babka. Była to ulga ale nie pomoc, bo prosty i uczciwy, ale nie znający świata umysł staruszki, nie mógł znaléźć na pocieszenie wnuczki nic więcéj, jak zwyczajne komunały.

Co w tym czasie działo się z Arturem?

On wypełniał dane mu polecenia, które kompletowały się coraz nowemi instrukcjami. W Paryżu ledwie kilka dni zabawiwszy, wypadło jechać do Włoch południowych, potém napowrót do Genui, potém do Szwajcarji i przez Niemcy do Szwecji, ztamtąd do Anglji. Zmieniając tak co chwila miejsce, wciąż na kolei i w hotelach, Artur, jakkolwiek niespokojny i spragniony wiadomości, nie dziwił się tak bardzo, że ani jednego słowa od Antoniego nie odebrał. Spodziewał się, że w Paryżu, gdzie adres wskazał, znajdzie całe archiwum listów, a nie kazał ich sobie przesyłać, nie będąc pewny, dokąd mu jutro wyjechać przyjdzie, i przekonany, że lada dzień wróci do Paryża. Rachuby te jednak myliły go ciągle tak, że dopiéro w początkach stycznia, załatwiwszy wszystko co było można, wrócił do stolicy świata.

To jednak nie przeszkadzało, że z każdego miasta, z każdego przystanku, poczta niosła do Mławy grubą kopertę z maleńką kartką do Antoniego, i z osobnym listem pod adresem pani majorowéj. Oczywiście, staruszka była tu tylko parawanem...

Artura także egzaltowały oddalenie i tęsknota. Każdy bujnéj wyobraźni człowiek doznaje tego fenomenu na sobie. Jest tysiące drobnostek, które w codziennem pożyciu rażą i chłodzą. Można szalenie kochać kobiétę, a uważać, że się czasem przesadnie ubiera, że przy jedzeniu otwiera usta nieładnie, że ma zły akcent francuzki, że ma katar, albo korki, albo trochę pudru, albo

prane rękawiczki. Ale w oddaleniu wszystko to ginie. Zakochany, zapomina o drobnostkach, anioła swego stroi wszystkiemi barwami na jakie stać jego imaginację i wielbi własny ideał. A potém oddalenie, jak każda przeszkoda, rozpala i podnosi: Artur też z dniem każdym bardziéj idealizował, namiętniéj rozkochiwał się w Polci, i z prawdziwą przyjemnością uniesienia swe i zachwyty malował w listach swoich. Babcia, do któréj listy te były adresowane, byłaby usnęła zaraz przy drugim, ale Polcia byłaby wszystkie od razu przeczytała i marzyła o nich długo...

Wiemy jednak, że wymowne te kartki, pisane serdeczną krwią serca, nie dochodziły do swego przeznaczenia. Antoni ciągle wraz z resztą karlińskiéj służby siedział w ścisłém więzieniu w Mławie, indagowany i straszony, ma się rozumieć daremnie.

Na poczcie wprawdzie wydano polecenie, żeby wszelkie listy do więźniów nadchodzące, wręczać sądowi wojennemu, ale byłby się dopiéro miał z pyszna pan urzędnik poczty, gdyby był rozkazu tego dopełnił. Był to zresztą człowiek poczciwy i należał do organizacji, wszystkie więc listy do Antoniego adresowane chował starannie.

Mój Boże! gdybyż jaki Chochlik dobroczynny był powiedział Poli, jakie tam skarby zawiera komoda pani pocztmistrzowéj?... Ale niestety! niema dziś na świecie Chochlików, a jeżeli są to na to tylko, by grabiów na króli przerabiać.

Tak więc od latającego po świecie Artura żadna wieść nie doszła do Staréj wsi, ani też on nic nie wiedział o aresztowaniu Antoniego a tém samém o przecięciu jedynéj komunikacji z ukochaną.

Rzeczy tymczasem szły zwykłym porządkiem, pani Zofja płakiwała, wzdychała i połowę dni leżała w łóżku lub na kanapie. Piotrowicz udawał bardzo zaniepokojonego stanem żony, a we cztery oczy podbechtywał jéj próżność, straszył jéj egoizm, zniechęcał ją do córki. Majorowa się martwiła. Pola mizerniała, poważniała, udawała spokojną, ale cierpiała niezmiernie. Feluś to sam, to z ojcem, bywał dość często i brał się do panny, ale się nie oświadczał. Piotrowicz bowiem ostrzegł Adamskiego, że trzeba czasu, żeby się młodzi poznali i że on sam powié, gdy stosowna nadejdzie chwila. Pola do Felusia czuła wstręt prawdziwy i rodzaj nienawiści, ale by matki nie drażnić, była dlań grzeczną, choć chłodną. Każdy inny byłby się domyślił co to znaczy, Feluś bardzo był zadowolniony i gdy wracającego pytała matka:

— No jakże panna?

— Tak sobie, nieźle... idzie pomaluśku.

Trzeba nawet przyznać, że się rozruszał trochę chłopczyna, i prawie pokochał, tak naturalnie, jak kochać był zdolny. Dużo więcéj przyjemności znajdował w towarzystwie Poli, jak w gonitwach za Marysią.

Jednostajność ta zamąconą dopiéro nieco została w końcu listopada. Jednego z ostatnich dni smutnego tego miesiąca, pani Zofja czując jakieś kłucie, leżała w łóżku; przy łożu choréj siedział Piotrowicz i Polcia.

Właśnie wrócił posłaniec z Mławy i przyniósł gazety i listy. Ex-mecenas swoim zwyczajem wziął się przedewszystkiem do dziennika urzędowego, szukając spisu subhastacji i sprzedaży przymusowych.

Polcia odebrała list z Warszawy od przyjaciółki swéj, Karolci, która nawet część lata w Staréj wsi spędziła.

Cisza była w pokoju. Odwracając stronnicę dziennika, Piotrowicz wypadkiem spojrzał na Polę, i wpatrzył się w nią zdumiony. Zdawało się, że czyta list, ale oczy jéj tak patrzały bezmyślnie, tak stały słupem, że oczywiście żadnéj usługi umysłowi oddawać w téj chwili nie mogły. Twarz jéj była blada jak marmur i krew z niéj wszystka gdzieś uciekła. Usta się kurczowo ścisnęły i nadawały fizjonomji wyraz dziwnéj boleści, ręce drżały. Każdy inny na miejscu Piotrowicza byłby się przeraził, zapytał, starał się rozbudzić dziewczę z téj nieméj rozpaczy.

Piotrowicz tego nie zrobił.

Bystro lecz spokojnie popatrzył z pod okularów na pasierbicę, potém zaczął niby z uwagą czytać daléj, od czasu do czasu jednak rzucał uważne na nią spojrzenia.

Po kilku minutach drgnęły oczy Poli i zaszły łzami, z piersi wydobyło się jakby przytłumione łkanie, wstała jednak powoli, list machinalnie złożyła w palcach i zostawiła na stoliku a sama powoli, wspierając się o komodę i ścianę, wyszła do drugiego pokoju.

— Cóżto? — zapytała chora — Polcia odeszła?

— Odeszła — odpowiedział mąż.

— Nudzi się przy choréj matce. Ach!

— Mówiłem ci, że tak będzie...

I chciał po setny raz powtórzyć znane kazanie, ale w téj chwili weszła majorowa. Stary się podniósł i całując żonę w czoło, rzekł najczulszym głosem:

— Kiedy matka przy tobie, pójdę cygaro wypalić, a korzystając z nachylenia ściągnął list przez Polcię zostawiony i wyszedł szybko.

Przybywszy do swego pokoju mecenas zapalił świecę i zaczął list przebiegać oczyma.

Pierwsze dwie strony zawierały zwykły szczebiot kobiécy, dopiéro na trzeciéj Piotrowicz czytał uważniéj a skończywszy mruknął:

— Aha... to to pannę tak zalterowało!... Dobrze wiedzieć... Ta ...... ani wié, jaką mi przysługę wyświadczyła.

I stary lis zamyślił się głęboko.

Ów ciekawy ustęp brzmiał jak następuje:

„Za pamięć o moim bracie serdecznie ci dziękuję. Biedny, zawsze nie dobrze na swoje piersi. Lekarze kazali mu zimę spędzić więcéj jeszcze na południu. Pojechał do Neapolu. Byłby biedak nudnéj użył drogi, bo jechał morzem, gdyby nie bardzo szczęśliwy wypadek. Na parowcu idącym z Marsylji, spotkał zgadnij kogo?... Oto tego zjadacza serc i bohatera zarazem, a waszego sąsiada Artura Karlińskiego, którego u was poznałam. On się nim zajął i w bardzo miłe wprowadził towarzystwo. Bo ten twój sąsiad, nie na próżno żył na wielkim świecie. Wystaw sobie, jechał on, ni mniéj ni więcéj, tylko w towarzystwie jakiegoś lorda angielskiego i dwóch dam włoskich, z których jedna, księżna Ruspini, ma być idealnie piękna. Mój Staś, który mimo swych cierpień, jest bardzo kochliwy, rozamorował się natychmiast i jak zwykle, podobno niefortunnie, bo mu się zdaje, że piękna księżna robi słodkie oczki do Karlińskiego... Za co ten Karliński taki szczęśliwy?... Znasz go lepiéj, powiedz mi... jam go się tylko bała..."

Po dość długim namyśle, Piotrowicz siadł przy biórku, napisał kilkanaście wierszy namyślając się często, potém papier zapisany włożył w kopertę i wielkiém wyraźném pismem położył adres: „Do Szanownéj Redakcji Kurjera Warszawskiego w Warszawie."

Poczém wrócił do pokoju żony i niezastawszy tam jeszcze Poli, list Karolci położył na stoliku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z PRZYRODY.

Artykuł trzeci.

JAN OPPOLZER i nowoczesne lekarstwo.

(Dokończenie.)

Kamień węgielny do nowego gmachu lekarstwa (medycyny) dostarczyła anatomja. Późno bardzo bo dopiero od czasów reformacji religijnéj Lutra zabrano się znowu do rozkrawywania trupów, najpierwéj, ażeby rozpatrzyć się w postaciach wszystkich najdrobniejszych cząstek ciała i onychże ustroju, a po tém w ich wzajemnym układzie. Szczupłego bardzo zapasu wiedzy przez starożytnych mianowicie Egipcjan przekazanego wcale nie można było pomnożyć we wiekach średnich, gdyż, jak wiadomem, papieże zakazywali bardzo surowo rozkrawywać trupy. Dopiero 150 lat temu, jak poczęto metodycznie rozbierać ciała ludzi i zwierząt we wyłącznym celu, ażeby badać przyczyny śmierci i za życia chorych czynione o ich chorobie domysły sprawdzać na ich trupach.

Rozkrawywując ciała swych pacjentów po śmierci spostrzegali lekarze na wewnętrznych wyłącznie częściach to mniejsze to znaczniejsze w ustroju zmiany i nadwyrężenia. Najczęściej zauważano je w najważniejszych organach, w których te zmiany tłómaczyły zastanowienie ruchu w maszynerji ludzkiego ciała. Epoka ówczesna była chwilą gwałtownych przewrotów w życiu społeczeńskiem, chwilą wytwarzania się dziś jeszcze istniejącego stanu rzeczy i obfitowała w mnóstwo pomysłów oryginalnych i śmiałych. Wówczas ukształcały się nowe umiejętności chemji, biologji i t. p. Odkrywano nowe siły w przyrodzie i użytkowano je. Cały pogląd na wiedzę ludzką opierać się zaczął na, zupełnie inaczéj niż dotąd było, pojmowanem rozeznawaniu rzeczy i stosunków. Dogmatyzm upadł, a racjonalizm wszędzie zwycięzko zapanowywał.

Jak wszystkie dogmata tak i dogma o chorobie upadło w obec umiejętności. Anatomja wykazała chore organa; fizjologja nauczyła oceniać ich znaczenie i wartość względną. Wnioski z nadwyrężeń pewnych części ciała stawały się jawnemi prawdami i okazywały jasno jak na dłoni przyczyny śmierci. Było, jak gdyby zasłona spadła z oczu. Nie troszczono się już więcéj o istotę osobistości choroby, ale rozprawiano o chorych organach. Ostatecznie pojęto, że to co nazywano chorobą jest tylko czystém wyobrażeniem, abstrakcją, stanem bytu; że w przyrodzie są tylko części chorobliwie zmienione, cierpiące, ale że nie ma istoty mogącéj być uchwyconą a nazwanéj: choroba.

Według jakichże prawideł mogą się stać części ciała, organa choremi?

Według tych samych prawideł jakim ulegają w ogóle istoty, żyjące pod wpływem jakiego szkodliwego drażnienia.

Pierwszy był to krok w pojęciu, do jakiego przywiodło badanie organów ciała i onychże czynności. Po nim następował drugi krok olbrzymi:

Czyby za życia jeszcze chorego nie można rozpoznać, jaki organ w nim zachorował?

Organa zewnętrzne, powierzchowne, dostępne dla oka za mało są ważne dla warunków życia. Zależało na tém, ażeby stan chorobny organów najważniejszych dla życia, a ukrytych oczom w głębi i we wnętrzu ciała podać pod śledztwo innego zmysłu np. słuchu. Dwóch Francuzów Cruveilhier anatom patalogijny i Laënnec klinik pierwsi wskazali po temu drogę, a Czesi Rokitańsky i Szkoda rozpatrzywszy się w niéj wytknęli szeroki, bity trakt, po którym dziś podąża nowoczesne lekarstwo (medycyna). Podczas gdy Cruveilhier i Rokitańsky dla oczu wykazali w tysiącach rozkrawywanych trupów wszystkie możliwe rodzaje zchorzałości najważniejszych organów, Laënnec pouczał, jakim sposobem w żyjących można podsłuchiwać różne chorobliwości płuc i serca, a to opukując klatkę piersiową. Niemiec Auenbrugger już dawno przed nim to samo już był kiedyś czynił.

Tak proste są te metody, a mimo to dają one bardzo donośny i bardzo jasny pogląd w tajnie cielesnego życia. Puka się w klatkę piersiową celem rozróżnienia organów napełnionych powietrzem, od tych, które go nie mają. Rozpoznać je można po różnicy tonu, jaki w skutek pukania wydają. Tym sposobem nabiera się i wyobrażenia o rozmiarach tych organów.

Podsłuchuje się uchem przyłożonem do klatki piersiowéj gry klapek bijącego serca, a różnice w tonach jak najpewniéj wykazują zdrowe lub cierpiące organa... Nabywszy tym sposobem pojęcie o zmianach organów, o ich rozmiarach, o ich działalności potrafiono ułożyć z pewnością nie do zbicia djagnozę, poznaki, oraz sąd o stanie chorobliwości najniedostępniejszych dla wzroku organów.

Mianowicie dr. Szkoda wydoskonalił sztukę odgadywania słuchem działalności organów w najdrobniejszych szczegółach. Z nich można wywodzić jak najniemylniejsze wnioski, o ile wewnętrznie ukryte części ciała są w normalnym lub chorobliwym stanie. Taki postęp nie mógł nie uspokoić sumiennych lekarzów, albowiem wskazano im sposób, jakim mogą widzieć, rzeklibyśmy, duchowo chorobliwość organów, a przez to powziąść nadzieję, że zdołają uleczyć je?

Ten zbytek atoli światła znowu zaślepił. W samém ognisku nowéj téj szkoły zakradło się powątpiewanie.

Jakto? Czyżby można uleczyć nadwyrężenia organów tkwiących tak głęboko w ciele naszem środkami, które bardzo daleko w ciele okrążać muszą, zanim przez żołądek obiegiem krwi dojdą w miejsca chorobliwe? To niemożebne! Więc wcale żadnych chorym nie dawano leków, straciwszy wiarę w ich skuteczność. Aż oto i tak uleczono z zapalenia płuc; żernice pobladły, róża zniknęła...... bez niepotrzebnych widać szeregów flaszeczek od leków i ich treści, a które to leki miały osobiście niby chwytać się jakoby za bary z chorobą i zwalczać ją!... Zaledwie co rozchmurzone niebo w dziedzinie lekarstwa, zamroczyło się znowu w dwojnasób. Cała nauka leczenia chorób zdawała się być bez żadnéj wartości! Co tu powiedzieć uczniom? Czy wyznać im, że po długich, mozolnych i niebezpiecznych ich zdrowiu i życiu naukach, po złożeniu examinów będą jak byli przed tem wszystkiem bez żadnéj władzy w obec leczenia chorób?... Czyż stan lekarski dla wtajemniczonych w wiedzę i sztukę lekarską doktorów zamiast być powołaniem nie stał się ceremonjalną kapłanów-augurów służbą, przy któréj pełnieniu patrząc na się uśmiechać tylko im się należy?!...

W takim stanie rzeczy, obok Krukenberg'a i Schönlein'a stanął mąż w pośrodku zwątpiałych mistrzów, nie pytający wcale o ich wnioski nauk i pojęć, ale silny wiarą, że lekarz choroby uleczać może i powinien, wierzący, że nauki i doświadczenia przez tyle wieków zbierane nie są czczą gadaniną. Ożywiały go natchnienie i zapał, najniezawodniejsze znamiona rzeczywistego przywódzcy. Do młodzieży wołał: „Uleczanie chorych jest celem ostatecznym wszelkich badań lekarskich!"

Tym mężem był Jan Oppolzer, Czech.

Wszystko w co wierzył, czego się spodziewał, czego nauczał, co wykonywał, to czas uprawdził. Zwątpienie już dawno znikło w umysłach dzielniejszych lekarzów i wierzą dziś oni, że mogą uleczać choroby, że wydoskonali się jeszcze o wiele więcéj ich sztuka i jeszcze lepiéj pouczy ich spełniać powołanie i jego obowiązki.

Jan Oppolzer urodził się 3go sierpnia 1808 r. w Gracowie (Gratzau) w powiecie budziejowickim (Budweis) w Czechach. Ojciec jego był ubogim ekonomem, a odumarł go, gdy Jan jeszcze był na gimnazjum w Pradze. Odbywał przeto szkoły częścią o własnych siłach, zarabiając sobie na utrzymanie dawaniem lekcji, aż nadzwyczajną pilnością zjednał sobie dobrodziejów, którzy mu ułatwili ukończenie nauk. W 1834 roku wystąpił pierwszy raz publicznie z pracą: „O tyfusie.“ Nie długo pracując w klinice chirurgicznéj, stał się pomocnikiem sławnego Dr. Krumbholz'a w klinice chorób wewnętrznych.

Wówczas uważano Pragę pod względem nauk lekarskich za mały Wiedeń, dokąd dla rozgłosu nowéj lekarstwa szkoły zjeżdżali się zewsząd znakomici nawet zagraniczni lekarze, niby do jakiéj naukowéj Mekki. Rekruci rozpoczynali swój naukowy zawód w Pradze, gdzie licznie i wybornie zaopatrzone szpitale wabiły chciwą wiedzy młodzież, która nie miała możności dla wydoskonalenia i doktoryzowania dostać się do Wiednia.

Z początku sądzono, że Oppolzer poświęci się wyłącznie praktyce, gdyż niebawem i od razu prawie wyrywano sobie młodego asystenta jako lekarza. To pewna, że publiczność często daje się ułudzić więcéj powierzchownością i zewnętrznem obejściem się lekarzów, aniżeli ich wiedzą, a nie można wyobrazić sobie więcéj sympatycznéj osobistości, niż nią był Oppolzer. Wysokiego wzrostu, smukły, w ruchach pewny i zręczny, przytém wesoły i wymowny, samém pojawieniem się w towarzystwie patrzących nań tylko już chwytał za serca. Trudno o człowieka z więcéj ujmującemi przymiotami ciała i duszy, serca i głowy. Wyborny towarzysz, przyjaciel, mąż, ojciec, obywatel, lekarz i człowiek, zjednał sobie własną wartością, niezmordowaną aż do chwili zgonu swego czynnością na polu wiedzy i umu rozgłos w całéj Europie i pierwszorzędne społeczne stanowisko. Po śmierci Krumbholz'a powołano zaledwie trzydziestoczteroletniego Oppolzera na dyrektora kliniki. W pamiętnym roku 1848 wezwano go jako rektora do wszechnicy lipskiéj, gdzie ledwo dwa lata pozostał. Wezwano go ztąd na profesora wszechnicy do Wiednia. Tam słynęli już Rokitańsky i Szkoda, jego ziomkowie.

Oppolzer nie pisał żadnych dzieł; leczył tylko i uczył; — nie utworzył żadnéj nowéj metody, ale pouczał jak stare z nowemi kojarzyć i zastosowywać; nie przełamał żadnych nowych torów dla nauk, tylko przestrzegał, ażeby dawnych nie opuszczać i wysoko je cenić, dla tego, że właśnie te stare szkoły są podwalinami nowszych i dla tego jak najściśléj ze sobą połączone i zrosłe; — a mimo to, Oppolzer był jednym z najwalniejszych filarów nowszéj szkoły w lekarstwie, tak zwanéj wiedeńskiéj. Czemu przypisać ten wpływ tak znaczny Oppolzera, że nawet przycieniał prawie sławę i rozgłos tych, którzy jéj założycielami byli?

Chcąc to pojąć, trzeba koniecznie uważać Oppolzera całkowicie, nie już jako samego lekarza, lub nauczyciela, ale jako człowieka czynnego, długo bardzo i niezmordowanie przenikającego na wskroś wszystkie warstwy społeczeństwa, gdzie osobistością swą apostołował zasady téj szkoły, pod któréj chorągiew się zaciągnął. Tamci twórcy nie byli lekarzami, nie umieli leczyć, za nich to leczył chorych Oppolzer. A w owych czasach koniecznie potrzebnym był taki mąż, gdyż wiarę w uleczanie chorób sami ci mistrze chwilowo utracili, i nie było nikogo, ktoby te zapasy ich odkryć umiał zużyć i zastosować. Porywającą swoją wymową, młodzieńczym zapałem i wielkością serca jednając téj szkole zwolenników nawet w publiczności nie wtajemniczonéj wcale w tajnie lekarstwa (medycyny), stał się sam dziejową osobistością w téj umiejętności, a mianowicie w nowéj szkole. Charakteryzują go wybornie własne jego słowa w mowie, jaką miał przy objęciu rektoratu przy wszechnicy w Lipsku, dnia 30 października 1848 r.: „Wielce się mylą ci, którzy sądzą, że postępowym lekarzem jest taki, który wybada jak najtroskliwiéj cierpiących, opuka ich, obsłucha i doskonale rozpozna chorobę tak, że dyagnoza jéj na żywym powzięta, sprawdzi się po śmierci chorego na trupie. Taki lekarz nie pojął, że najostateczniejszym celem wszelkich wysileń i badań w lekarstwie jest uleczanie chorych z ich chorób. Lekarzowi pojmującemu swoje powołanie, swoje stanowisko w nowoczesnéj szkole, tyle cięży na sumieniu uleczanie samo, co i wszystkim innym jego wielkim poprzednikom, sumiennym lekarzom. Nowożytna szkoła w lekarstwie ma wszelako wiele więcéj światła i środków. W skutek tego umie łatwiéj i lepiéj rozeznawać zmiany najtajniejszych organów ciała, i tém skuteczniejsze wybierać leki. Nie waha się ona, nie doświadcza, ale jasno cel widząc, stanowczo go urzeczywistnia.

Do téj wiedzy lekarstwo dochodziło arcy-mozolnie, a bez téj wiedzy nie można było nawet marzyć o rozumowanéj terapji. Tę naukę uzasadnić dopiero można było, gdy się poznano doskonale na tém, jak zmiany chorobliwe organów rozróżniać, jak przywrócić je do stanu zdrowego. Żeby to rozpoznać, trzeba było poprzednio oswoić się jak najwyborniéj z anotomją patologijną, z fizjologją, z chemją, z najnowszemi metodycznemi badaniami. Anatomja patologijna wykazała nam najważniejsze nadwerężenia chorobliwe organów najgłębiéj ukrytych oczom. Na sam widok zmian tych organów na trupach była chwila, że najbieglejsi poczęli wątpić i już, już przyznać się chciano do tego, że usiłowania terapji, czyli nauki o lekach, są dla nas ludzi płonne. Zapomniano o jedném, t. j. że na trupach widzialne nadwerężenia, jakieby odczynić wypadało, gdyby chciano przywrócić te organa do stanu zdrowia, że te zmiany w żywych chorych nie mogą dochodzić do téj ostateczności, dopóki tylko życia staje.

Zbadawszy nareszcie jakim się sposobem chorobliwość organów zaczyna, jak się rozwija, rozważywszy rozliczne sposoby leczenia, oraz prawidłowość, według któréj tak zdrowe, jak i chore części w żywych się rozwijają i działają, — poznawszy to wszystko jak najgruntowniéj — już nie wolno wątpić, że władzę uleczania nadają lekarzom lekarstwo, że lekarze znanemi dziś lekami mogą skutecznie wpływać na przebieg lub na powstrzymanie choroby.

Dzielny lekarz dobiera zwykle jak najprostszych, jak najłagodniejszych środków, ażeby uleczał. Zanim przystąpi do leczenia, bada najpierw najstaranniéj, czy nie ma jakich zewnętrznych lub wewnętrznych pobocznych czynników? oraz jakie one są? o ile one wpływać mogą na chorych organów zmianę? Dostrzegłszy je sili się je ubezwładnić, usunąć.

Potém zwraca uwagę na chorego dyetę, ale to w najrozleglejszém słowa znaczeniu i częstokroć ma tę radość, że samą zmianą dyety chory powraca do zdrowia, — że sama dobrze zastosowana dyeta często usuwa chorobliwy stan, czegoby żadnemi nawet najgwaltowniejszemi i jak najśmieléj użytemi w największéj obfitości lekami dokazać nie można było.

Dzielny lekarz, jeżeli będzie miał tę szczęśliwą sposobność, z zasady starać się będzie o to, ażeby stanowczo jąć się do zatrzymania choroby zaraz w samym jéj początku, a jeżeli już nadwerężenia staną się znaczne, natenczas główném jego zadaniem jest, ażeby powstrzymywał tylko poboczne okoliczności i wpływy, któreby

naturalnemu rozwojowi przeszkadzać mogły, głównéj chorobie zupełnie dając pokój. Te poboczne okoliczności, podrzędne te choroby obok głównej, są zwykle najniebezpieczniejsze dla życia. Wszystkim dobrze wiadomém n. p, że puchlina po szkarlatynie, jako choroba następna, pochodzi od zaziębienia skóry i bywa przyczyną śmierci.

Nie zawsze niestety może lekarz dobrą zdać sprawę o stanie choroby, ani o wpływie, jaki wywrą leki na chore organa. W takim razie jest obowiązkiem lekarza, ażeby nie zaniedbał użyć takich leków, których wpływ nam jest dobrze wiadomy. Mniejsza o to, czy potrafi sobie wytłomaczyć, według jakich prawideł to się dzieje.

Otóż temi to prostemi zasadami kierując się Oppolzer dokazywał prawie cudów. Rozrywano go sobie na całą Europę. Wszędzie równie chętnie spieszył, czy to w pałace panujących, czy w chaty nędzarzów. Przy łóżku chorych nikt go nie widział zniécierpliwionego lub obojętnego. Cesarz nadał mu szlachectwo, bogacze majątkiem znacznym go uposażyli, uczeni zaszczytami, biedni łzami wdzięczności, a wszyscy błogosławieństwem, a on nigdy ani na chwilę się nie zmienił ani dla przyjaciół, ani dla ojczyzny, ani dla umiejętności. Padł ofiarą swéj sztuki zaraziwszy się tyfusem i zgasł dnia 16go kwietnia 1871 r. we Wiedniu na rękach swego syna Dr. matematyki i profesora Bożydar'a (Theodora), zgasł w gorączce ostatnie wymawiając słowa, jak gdyby do licznych prawił słuchaczów: „Leki pomagają najniezawodniéj! trzeba je tylko dobierać stosownie, a chorym regularnie podawać."

W. hr. Ch. (Unsere Zeit.)

Korespondencja z Wenecji.

„A z Wenecji przyślij mi korespondencję przecie", pisałeś do mnie, szanowny redaktorze, parę miesięcy temu. Naturalnie przyrzekłem, a oto czterdziesty przeszło raz widzę słońce z Adrjatyku wstające i nieraz w tym czasie miałem już nogę w strzemieniu chcąc dosiąść pegazu mego, i... kończyło się zawsze na zamiarze.

Wprost przeciwne sobie przyczyny wydają często te same skutki. Gdy krakowscy, lwowscy i poznańscy kronikarze pocą się krwawym potem i dumają, jak bicz z piasku ukręcić, i zapełnić kolumny dziennika, ja w tém samém jestem położeniu ale... ze zbytku materjału. Od czego zacząć? o czém mówić najprzód? w jaki porządek ułożyć ten ogrom wrażeń, jakich doznaje każdy syn północy, gdy go para pod to cudne niebo, w tę skarbnicę arcydzieł przerzuci.

Bo nie spodziewaj się, mój redaktorze, że Ci będę opisywał kościoły, pałace, obrazy i posągi. Nic łatwiejszego jak z pierwszego lepszego przewodnika wypisać listę arcydzieł, których samo wyliczenie wystarczyłoby na wcale przyzwoity tomik. Bez wielkiego téż trudu możnaby to okrasić bardzo rozumnemi sentencjami skradzionemi z pierwszego lepszego opisu weneckich zabytków, ale i Ty i ja nię lubimy blagi. By coś powiedzieć o tych skarbach, trzeba je lata całe studjować i badać, trzeba mieć głębokość i bystrość Tain'a, i styl naszego Kremera... Wtedy wolno marzyć, iż się czytelnikowi da choć słabe, choć dalekie wyobrażenie o wrażeniu, jakiego się tu doznaje.

Ale turyści i dyletanci przedmiotu tego powinni unikać starannie. Jakiż bowiem sąd wyrobić sobie może człowiek, który przez kilka tygodni zwiedził kilkadziesiąt kościołów, przed którego okiem przesunęło się parę tuzinów Tycjanów, parę set Tintoretów, kilkanaście Veronezów, Bellinich i t. d., a prócz tego nieskończona liczba dzieł rzeźby i płaskorzeźby nieporównanego wdzięku i fantazji... Nie... z pokorą się przyznaję, nie probowałem dotąd nawet ani sądzić, ani porównywać. Jeżeli tu i owdzie dostrzegłem rzecz mniéj piękną, tonęła ona wśród nawału przepięknych rzeczy.

Wpadłszy w taką skarbnicę sztuki jak Wenecja, człowiek czas jakiś żyje inném życiem. To ciągłe obcowanie z tworami genjuszów, otacza go jakąś inną atmosferą... podziwia, uwielbia, czci i czuje się jak w zaczarowanym świecie...

Tu dopiéro pojąć można tę tęsknotę ku krajowi, gdzie „laur kwitnie" wrodzony artystycznym naturom. Powie kto może, że przecie w galerjach takich jak drezdeńska, monachijska, luwrska więcéj i rozmaitszych jest arcydzieł.

Prawda — ale to galerja... Ten natłok płócien nuży, te złocone, jednakowe ramy psują efekt, ta jednostajność męczy. Dla tego to zwiedzanie muzeów tak jest utrudzającém. Inna rzecz tutaj... Gdy wejdziesz do kościoła Frari, San Giorgio Magiore, Saluto lub zresztą gdziekolwiek, stajesz naraz wśród trzech sztuk plastycznych, które się nawzajem wspierają... To nie wązkie kurytarze galerji, ale przepyszny utwór jednego lub kilku genjalnych architektów. Tu obraz Tyciana lub Tintoreta nie ściśnięty prozaiczną ramą, ale patrzący na ciebie z pośród marmurowych kolumn i rzeźb, które same są już arcydziełem.

Bo pamiętać trzeba, że jeżeli, mimo Tycjana, Tintoretów, Bellinich, Bassanów, Veroneza i całego szeregu znakomitych artystów, którzy długo po śmierci mistrza podtrzymywali sławę szkoły weneckiéj, Wenecja mniéj jest daleko bogatą w arcydzieła malarstwa jak Rzym lub Florencja, to za to pod względem piękności, czystości i liczby marmurowych zabytków wieków ubiegłych prawie im wyrównywa. Kościół Śgo Marka i wielu innych opiera się na kolumnach, z których wiele mogłoby nam o Peryklesie i Sokratesie coś powiedzieć. Niema zaś miasta, gdzieby znajdowało się tyle i tak wdzięcznych wzorów architektury ostrołukowéj jak tutaj.

W obec tego wszystkiego możnaż myśleć o analizie, o sądzeniu, o sprawozdaniu?

Ale dość téj przedmowy.

Z Wenecji trzeba przecież coś o Wenecji napisać.

Rozmaici podróżnicy i turyści obmówili biedne miasto, śpiewając nad niém jeremiaszowe treny, płacząc nad upadkiem królowéj Adrjatyku, nazywając ją: miastem gruzów... Wszystko to poetyczne przywidzenia, wygodne, bo dające pretekst do deklamacji, ale niezgodne z prawdą i rzeczywistością. Wenecja naturalnie ma swoje gruzy i ruiny, jak każde stare miasto. Nie jest ona zapewne dziś tém, czém była w XII, XIII, XIV, XV i głównie XVI wieku; wspaniałe pałace jéj patrycjuszów z małym wyjątkiem są dziś hotelami lub mieszczą zakłady publiczne; bieda w niższych warstwach ludu nie mała, nieporządek w dalszych zaułkach czasem przerażający. Mimo to jednak, to dziwne i jedyne na świecie miasto jest jeszcze jednem z najpiękniejszych na świecie, jedném z tych, które artystyczne marzenia najdokładniéj wypełniają, i co więcéj, jedném z najweselszych.

Rzeczywiście, mimo biedy i ogromnych podatków, dziwny ten lud rusza się, bawi, śmieje i... śpiewa. Ah! wiem ja z doświadczenia, że Włoch bez śpiewu żyć nie może. Byle noc piękna i ciepła, pod mojemi oknami, na Riva degli Schiavoni (ulica nad portem) jedno po

drugiém zjawiają się towarzystwa śpiewacze, i wyprawiają serenady do rana.

Rzeczywiście Włochy, ten naród-artysta nie pozwolił sobie odebrać palmy pierwszeństwa w żadnéj ze sztuk pięknych. A gdy zabrakło wielkich malarzy i architektów, gdy Dante, Tasso i Arjost nie znaleźli następców, a Canova umarł bezdzietny, na płodnéj téj ziemi zjawili się Rossini, Bellini, Donizetti, i cały zastęp muzyków. W czasie téż panowania austrjackiego cały patrjotyzm Lombardo-Wenetów, ich marzenia niepodległości, ich nienawiść do najeźdzcy, ich entuzjazm i zapał, ukryły się w tonach i niezrozumiałe dla cenzury, dla ludności były jasne i pojęte.

Dziś gdy jarzmo zrucone zostało tak łatwo i bez wysileń żadnych, gdy portrety Manina, Cavoura i Garibaldego każda kawiarnia posiada i każda pięciofrankówka papierowa ich konterfektami spodziewa się kredyt zyskać, Wenecjanie śpiewają jeszcze zacięciéj.

Dziwna to jednak rasa, a choć dziś wynudzona może, choć zmiękła i zniewieściała, przecież w niéj płynie krew prawdziwych bohaterów i tytanów prawie. Istnienie Wenecji, jéj historja, jéj wielka świetność i potęga, nawet jéj upadek, to dramat jeden, pełen cudowności i nauki. Nic może na świecie nie jest w stanie tak wbić w dumę człowieka, jak sama egzystencja tego dziwnego miasta, bo nic dobitniéj nie dowodzi, co wola człowieka zrobić może.

Dziwimy się kolejom rzuconym przez góry i przepaście, podziwiamy tunel Mont-Cenis. Prawda — dzieło ogromne! A jednak, zważywszy dzisiejsze środki, to zabawki w porównaniu z założeniem Wenecji.

Każdy niezawodnie z czytelników moich wié, że Wenecja powstała w czasie napadu Attyli, który całą Lombardję w gruzy zamienił. Pozostali przy życiu schronili się na laguny i to był początek przyszłéj królowéj Adrjatyku. Ale niezawodnie mało kto ma dokładne pojęcie, co to były owe laguny. Ponieważ na nich stanęły domy 6-piętrowe i olbrzymie kościoły, więc wyobrażamy sobie, że to był zbiór wysepek poprzerzynanych kanałami.

Otóż w tém jest omyłka. Z jednéj strony Po i Adyga, z drugiéj przypływy morza naniosły do zatoki adrjatyckiéj przez lat tysiące ogromne zaspy piasku. Owe więc laguny były to po prostu ławy piasku ruchomego, wilgotnego, w którym lgnęła i zapadała się nawet mewa morska. Dziś jeszcze widzieć można płaty takie kilkumorgowe, żółte rano, niewidzialne po południu, gdy przypływ je wodą przykryje.

Otóż, prócz kilkunastu wysepek ziemi dawniejszych, mających stalsze, granitowe podstawy, roślinność i poziom przenoszący przypływy morza, reszta obszaru, na którym dziś wznosi się Wenecja, składała się z takich lagun. I na takiéj to podstawie, garstka wygnańców, w V wieku po Chrystusie, bez narzędzi, bez środków jakie dziś nauka daje, odważyła się założyć miasto! Człowiek się uparł... miljardy palów wbito w piasek, góry granitu rzucono w otchłań, i na 72 wysepkach, które rozdziela prawie na dwie równe połowy kanał wielki (grande canale) a między któremi wije się 146 małych kanałów, stanęło miasto o 28,000 budynkach (z których 6,000 przy wielkim kanale), o 2,100 ulicach i 308 mostach rzuconych nad owemi kanałami. Nie jestże to jeden z największych cudów woli i rozumu człowieczego?... Aby zaś dać czytelnikom pojęcie o trudnościach i kosztach podobnych budowli — dość przytoczyć, że pod kościół Santa Maria della Salute (jeden z najpiękniejszych, pełen arcydzieł Tycjana) musiano wbić 1,200,000 palów, żeby mu dość silną stworzyć podstawę.

Tego jednak nie dosyć. Przypływy morza zanieczyszczały kanały piaskiem i groziły zamuleniem portu. Ztąd olbrzymie prace około Lido, znane pod nazwiskiem Muruzio (mury) a będące rzeczywiście olbrzymim, 10 łokci grubym murem granitowym, wystającym nad morze — a którego przeznaczeniem jest wstrzymywać napływy piasku.

W obec tego mniéj już dziwią dalsze losy tego miasta. Rasa ta zahartowana takiemi dziełami, godnemi olbrzymów, musiała, mimo słabości liczebnéj, zapanować nad wszystkiém, co w promieniu jéj działalności się znalazło.

I widzimy oto dziwne w historji zjawisko! Miasto liczące w czasach najświetniejszych ledwo 200,000 ludności, posiada 3,000 okrętów handlowych i najsilniejszą wtedy marynarkę wojenną; ujarzmia całe przyległe wybrzeże, podbija Moreę, Kandję, Cypr, cały prawie archypelag grecki, wreszcie zdobywa Konstantynopol Cezarów — a doża jego nie raczy swego rogu zamienić na mitrę imperatora*). I to samo miasto ogarnia cały handel Wschodu, bierze go w monopol i na Adrjatyk nie pozwala wjeżdżać cudzym okrętom bez specjalnego pozwolenia Senatu swego; zaczepione, stawia czoło koalicjom potężnym, równie dumnie traktując cesarza jak króla hiszpańskiego, i gdy świat cały zgina czoło przed gromami Rzymu, ono lekceważy ekskomunikę i bulle papieskie i budując masę kościołów, religijne, do dewocji i fanatyzmu, nie pozwala ani na chwilę mięszać się duchowieństwu do spraw cywilnych i mianuje niezależnego od Rzymu patrjarchę.

Co więcéj: Demokratyczno-republikańska w pierwszych wiekach, potém republikańsko-oligarchiczna, z dożą bez władzy i siły, wybieralnym co lat parę i to zwykle z pośród starców prawie wiekowych, Wenecja nie zna prawie zaburzeń i rewolucji wewnętrznych. Dwa były tylko bowiem zamachy przez 13 wieków: jeden, to ów, przez Bajrona, Delavign'a i tylu innych upoetyzowany zamach przeciw oligarchji, zamierzony przez niedołężnego dożę Marino Falieri, a który skończył się ścięciem jego i wyrzuceniem portretu winowajcy z szeregu kolegów. Drugi zamach przeciwko doży wybuchły, wywołał krótką walkę i krwawą zemstę nad winnymi.

Dodajmy do tego ten długi szereg mistrzów gienjalnych, jakich to miasto wydało ze swego łona, a na czele których stoi taki Tycjan w malarstwie, taki Palladio w architekturze, taki Canova w rzeźbie, a przyznać będziemy musieli, że lud dzielny i pełen sił płodnych i życia zamieszkiwał to miasto.

Naturalnie, dzisiejsi Wenecjanie nie są tém, czém byli ich pradziadowie. Jak wszystko na świecie, świetność Wenecji doszedłszy do zenitu, zaczęła się ku zachodowi chylić. Wielkich mężów Stanu i wielkich artystów zastępowali mierni politycy i artyści bez genjuszu, aż przyszedł haniebny upadek 1797 r. — Dziś Wenecjanin nie ma dumy swych przodków z XIII wieku, nie marzy o zdobyczach, i nie uważa Adrjatyku za swoją własność. Umizga się do cudzoziemca, schlebia mu, kłania mu się i obdziera go jak może. W najpierwszych sklepach gdy ci, czytelniku, powiedzą, że to a to kosztuje 100 franków, ofiaruj 50, krakowskim targiem, a prawie zawsze za tę cenę otrzymasz.

Mimo jednak całego sprytu kupieckiego, jaki leży we krwi Wenecjanina, mimo licznego zawsze napływu obcych, handel idzie słabo, i proletarjat jest wielki. Na 120,000 mieszkańców, 30,000 zapisanych jako biedni, mający prawo do wsparcia.

A jednak tego nie znać... Pod szczęśliwém tém niebem śpi się na dworze, i żywi byle czém... a byle

*) Doża Henryk Dondolo, jako sprzymierzeniec Krzyżaków francuzkich dwa razy zdobył Byzancjum w 1204 r. — Wybrany imperatorem, nie przyjął téj godności i zrzekł się jéj na rzecz Bodovina. — Był to starzec 80 letni, jak większa część dożów i prawie ślepy. On to wtedy zabrał owe konie sławne, które zdobią fronton św. Marka.

wielkiego głodu nie było, Włoch śmieje się i bawi. I kto w niedzielę wieczorem wyjdzie na plac św. Marka, ten olśniony jest przepychem strojów kobiécych. Bo Włoch, zamożniejszy nawet, cały tydzień siedzi w domu i żyje sałatami i polentą (kukurydzowe ciasto), po obiedzie pije u Florjaniego lub Quadrego pół filiżanki kawy i na tém basta. Ale gdy przyjdzie niedziela lub święto, wtedy pierwsza lepsza kupcowa ubiera się jak księżna i... maluje się jak aktorka. Dla tego to ten plac taki feeryczny przedstawia widok, zwłaszcza wieczorem. Niedawno oświecono go à giorno na cześć księstwa Wallji. Cudowny był widok! i przypomniały mi się owe słowa Napoleona Igo, który o tym placu powiedział: „Jest to salon, któremu tylko niebo za sufit służyć może!“

Niestety, w tym salonie tak mało ładnych kobiét!... Nie można twierdzić, żeby Wenecjanie wyrodzili się fizycznie. Owszém, mężczyźni tu przystojni po większéj części, dobrze zbudowani, a gondoljery wiosłują z wdziękiem baletników — ale kto wierząc opisom marzy o Wenecjankach, o oczach palących, o włosach kruczych i ruchach królewskich, ten smutnego dozna zawodu.

Heine zauważał, że jeżeli sztuka winna swe typy naturze, to oddaje jéj tę usługę z procentem — i za przykład przytoczył Wenecję, gdzie młode matki modlą się przed Madonnami i... rodzą madonny. Twierdził nawet, że blond włosy Tycjanowskiéj Madonny w sławnym obrazie „Wniebowzięcia“ są przyczyną, że tyle jest blondynek w Wenecji.

Uwaga sławnego pisarza może i jest prawdziwą, ale w zastosowaniu do niższych warstw. Wśród wieśniaczek i rybaczek, na Rialto, między kwiaciarkami i piastunkami można spotkać typy będące żywą kopją najpiękniejszych obrazów. Parę dni temu widziałem mamkę z dzieckiem na ręku, któréj profil, oko ciemne, osłonięte długą rzęsą, z marmuru kute formy i ruchy prawdziwie majestatyczne zdawały się wcieleniem jednéj z Madon weneckich, które zresztą nie grzeszą idealnością. Z wyższych sfer jednak nie wiem, czym widział dwie kobiéty, naprawdę piękne. Jeżeli teorja Heinego jest prawdziwa, to dowód, że damy mniéj się modlą i mniéj się w święte madonny wpatrują. Niech to jednak, broń Boże, nie odstrasza nikogo od Wenecji. — Kto szuka znajdzie, i mój przyjaciel Alfred uśmiecha się litośnie, gdy mu mówię, że mało ładnych kobiét w Wenecji.

Mimo pewnéj zniewieściałości i biedy, mimo próżniactwa i pragnienia wyciśnięcia cudzoziemca jak cytryny, lud wenecki, natchniony duchem Manina, pokazał w 1848 r. do jakich ofiar jest zdolny.

Wspomniawszy po raz drugi imię znakomitego patrjoty, nie mogę nie oddać słuszności Włochom, że bohaterów swych szanować umieją. Niema sklepu, kawiarni, restauracji, gdzieby z za szkła nie wyglądała poczciwa, mieszczańska, tchnąca zacnością twarz dyktatora. Twarz ta, obok Cavoura i Dantego, figuruje na pieniądzach papierowych, a sarkofag Manina w przedsionku św. Marka, codzień świeżemi obsypany kwiatami.

Szczęśliwa Wenecja!... Wolno jéj czcić bohaterów swoich...

Jeżeli Wenecjanie szanują swoich wielkich ludzi, to niemniéj dumni są z cudzoziemskich znakomitości, które dłuższy czas tu bawiły.

Tak n. p. z pobytu Henryka III (Walezjusza) który uciekłszy z Krakowa kilka miesięcy tu bawił, wszystkie uroczystości na cześć jego przez Rzeczpospolitą wyprawiane starannie zostały przechowane w obrazach pierwszorzędnych mistrzów.

W arsenale z uszanowaniem pokazują zbroję, którą dzisiejszy car rosyjski z łuku strzałami podziurawił, w czasie swéj tu bytności jako następca tronu.

Dotąd pokazują pokój w hotelu Danieli, w którym długo mieszkała George Sand, i w którym napisała powieść p. t. Leon Leoni i inne.

Ale żaden z cudzoziemców tak popularnym tu nie jest jak Bajron, który awanturniczém, prawie skandaliczném życiem, równie jak genjuszem zwracał powszechną uwagę.

Rzeczywiście tu on spędził najburzliwszą i najpłodniejszą epokę życia. Opuszczając Anglję, wielki poeta, jakkolwiek przejęty goryczą, miał jednak nadzieję, że się pogodzi z żoną i dla tego zapewne w czasie pobytu w Genui żył odosobniony, nie dając powodu do zarzutu. Przekonawszy się przecież, że to nic nie pomaga — że potwarcy i plotkarze oczerniają go jak dawniéj, rzucił się w wir szalonego życia jakby na przekor, i przybywszy do Wenecji, zaczął pisać don Juana i skandalizować Anglików.

Każdy krok lorda-poety pozostał do dziś w pamięci Wenecjan. Każdy cicerone zaprowadzi cudzoziemca na Calle Largo i pokaże mu dom, gdzie z początku Bajron mieszkał, rozmiłowawszy się w żonie kupca sukna, mieszkającego na dole.

Każdy gondolier trąci cię w ramię mijając pałac Moncenigów (przy wielkim kanale) i objaśni, że tu mieszkał za drugim powrotem sławny poeta. Anegdoty, jakie o nim opowiadają, starczyłyby na osobną książkę. To pewna, że w tym pałacu Bajron miał całą menażerję małp, lisów, sępów, orłów, chartów i t. d., wśród któréj najciekawszą była Margarita, wieśniaczka z nad Brenty, o któréj, i o kłopotach jakie mu robiła, tyle i z takim humorem pisał do swego przyjaciela sławnego Moora: Kobiéta ta piękna jak Madonna, namiętna jak prawdziwa Włoszka, zakochana w poecie do szaleństwa, ordynarna i gwałtowna nadokuczała mu niemało i ledwie gwałtem jéj się pozbył, by oddać po raz ostatni niestałe serce hrabinie C... z którą ostatnie lata przebył już w Rawennie.

W tém też pałacu Moncenigów, Bajron przyjmował Tomasza Moora, tu napisał większą część Don Juana, Beppo, Marino-Falieri i wiele drobnych urywków, ztąd codzień jeździł do wyspy św. Łazarza, do ślicznego klasztoru armeńskich zakonników i tam brał lekcje armeńskiegą języka przy wielkim stole, do którego zwiedzający z uszanowaniem się zbliżają; taka jest potęga prawdziwego genjuszu, który mimo zboczeń i wad, był jednak jak każdy prawdziwy genjusz wyrazem boleści i pragnień swego czasu.

Po lekcji, poeta jechał na Lido, gdzie miał stajnie, dosiadał angielskiego wierzchowca i galopował po nad huczącém morzem. Ileż cudnych obrazów zawdzięczamy téj ekwitacji...

Najpamiętniejszą jednak anegdotą o Bajronie jest sławny jego wyścig w pływaniu. Włoch pewien wyzwał go na pływanie, a do zakładu przyłączył się Anglik Stuart, przyjaciel poety. Puścili się z Lido. Włochowi sił zabrakło na początku wielkiego kanału, Stuart zatrzymał się przy Rialto, tylko Bajron dopłynął do końca kanału, po 4 godzinach i 20 minutach płynięcia bez wypoczynku. O zwycięztwie tém opowiada poeta z prawdziwą dumą, bo obok niego późniejsze przepłynięcie Bosforu w ciągu 1½ godziny było już tylko zabawką. Bajron zaś był tyle przynajmniéj zazdrosny o sławę pływaka, co o poetyczne laury.

Widzę, żem się rozgadał o Bajronie zamiast o Wenecji... Darujcie! Szczegóły malujące wielkiego człowieka zaciekawiają mnie często więcéj, jak fakt jakiś ogólny lub wyrozumowana rozprawa o handlu i przemyśle.

Jednakże i tego zaniedbywać nie należy w praktycznym czasie naszym. Więc słówko o przemyśle Wenecji. Któż nie wié, że szklanne wyroby były monopolem Wenecji. Ogromne fabryki na Murano zajmowały 20,000 ludzi, a sławne lustra weneckie stawały się nie-

raz powodem grzechu i upadku szlachetnych dziewic lub żon cnotliwych. Dziś naturalnie monopol się skończył, a sekret kolorowania i robienia przestał być sekretem. Jednakże przemysł ten kwitnie jeszcze i kilku tysięcy ludzi zajmuje. Wyroby zaś szklanne gustem, oryginalnością form, żywością barw przewyższają wszelkie inne fabryki. Widziałem bukiet kwiatów ze szkła, który otrzymał medal na wystawie. Rzeczywiście, natura jest tak uchwyconą, że trzeba się dotknąć by uwierzyć że to nie róże, kamelje i fijałki prawdziwe.

Mozajkowe roboty zajmują tu także znaczną ilość rąk, ale pięknością i żywością kolorów nie wyrównywują florenckim.

Tym co się żenią a więc meblują (a zdaje się, że ten rok matki mające córki na wydaniu policzą w waszych stronach do owych siedmiu tłustych lat egipskich) radzę, żeby ztąd sprowadzili wyroby z alabastru i marmuru. Niema właściwszéj, dystyngowańszéj ozdoby do buduaru młodéj kobiéty, jak marmurowe kolumny lub alabastrowe amfory. Tu zaś można parę takich amfor prześlicznéj roboty i średniéj wielkości nabyć za 7 lub 8 talarów. A kiedym już się wdał w rady dla nowożeńców, to tym z nich, którzy poślubne z angielska zamierzają robić wycieczki, radzę prosto tu przyjechać i tu miodowy przebyć miesiąc. Nigdzie bowiem tak wygodnie, przyjemnie i lubo kochać się i pieścić nie można, jak tutaj. Wnoszę to z wielkiéj liczby młodych par, oczywiście cudzoziemskich, które co chwila wszędzie spotykam, a wyjaśniam to rozmaitemi okolicznościami...

I tak, najprzód gołębie... Ah: zapomniałem o nich, a przecież niepodobna, mówiąc o Wenecji, zapomnieć o gołębiach św. Marka. Za czasów Rzeczypospolitéj dawano im ze skarbowych śpichrzów — teraz żywią się jak mogą a raczéj zawsze się ktoś znajdzie, co im egzystencję zapewni. O pewnéj godzinie pokrywają połowę placu czarną chmurą i dobroczynna ręka rzuca im ziarno.

Otóż wiadomo, że gołąb jest symbolem małżeńskiéj miłości i wierności. Przykład więc tych ptasząt, spotykany co chwila, nie może jak tylko dobrze działać na młode pary...

Drugą przyczyną jest gondola... Kto nie jechał gondolą, pojęcia mieć nie może, jak to rozmarza i w jaki błogi stan wprowadza... Gondola to pełna elegancji łodzia, długa może łokci z 15, szeroka ledwie 2, z grzebieniem stalowym na przodzie, z budką czarną lub baldachimem we środku. Łódź ta zaledwie suwa się po wodzie, a gdy dwaj silni gondoljerowie się zawezmą, pędzi, jak koń w galopie... i zwija wśród kanałów i ścisku z większą zręcznością jak dorożka warszawska.

Jadący, wsparty na miękkich poduszkach, muskany ciepłym orzeźwiającym powiewem od morza, sunie po wodzie i zaledwie lekkie zakołysanie od czasu do czasu przypomina mu, że nie pędzi w powietrzu, ale płynie po wodzie...

Zważmy teraz, że tylko dwie osoby mogą siedzieć obok siebie, że te dwie osoby mogą się oddzielić od świata zupełnie i być dla siebie tylko samych, lub téż wspólnie admirować i słońce włoskie i to niebo dziwnego koloru i te widoki wspaniałe, jakie wyspy i Wenecja przedstawia, i powiedzcie, czy w dusznéj skaczącéj po kamieniach i turkoczącéj karecie lub w trzęsącym wagonie przy hałasie pary i gwiździe lokomotywy można czuć równe zachwyty sam na sam?...

A teraz noce weneckie!...

Ah! gdyby człowiek był młody!... Halte là! Gotówem kilkanaście kartek napisać o tém, cobym robił, gdybym był młodym, gdybym płynął gondolą przy świetle księżyca i gdybym... Tymczasem i tak nabazgrałem zanadto... Co z tém zrobisz mój Redaktorze?... Ha! sam chciałeś!... Wenecji dwoma słowami zbyć nie można. I tak winieneś mi wdzięczność, bo gdybym zaczepił o obraz, o pomnik, lub o bal ludowy jaki... miałbyś się z pyszna!...

Mam jednak litość nad Tobą i dla tego kończę...

Józef Narzymski.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— **Lepiéj późno jak nigdy.** W Krakowie zawiązał się nareszcie komitet do zbierania składek na oświatę ludową. Na odezwie, któréj dla braku miejsca w całości zamieścić nie możemy, podpisany jest jako przewodniczący Dr. Józef Dietl, jako zaś członkowie komitetu: pp. Leon Chrzanowski, Antoni Chmurski, ks. Marcelli Czartoryski, X. Leopold Górnicki, Dr. Ludwik Gumplowicz, Dr. Józef Majer, Józef Szujski, Alexander Szukiewicz, Dr. Jonatan Warszauer, Dr. Ferdynand Weigel, Ignacy Żółtowski, Dr. Szymon Samelson.

* * *

Sztuki piękne:

— Dnia 12 maja otworzono **wystawę Dzieł Sztuki we Lwowie**; — dotąd wzięli w niéj udział pp. Pilatti, Grabowski, Grabiński, Hofman, Leopolski, Kossak, Mirecki, Brochocki, Małecki, Madejski, Gramatyka, Helon, Kowalski, Dzbański, Sidorowicz, Borkowski, Gryglewski, Godlewski, Gałuszkiewicz Fabiański Walery Eliasz i inni. Z artystów rzeźbiarzy: Trembecki, Barącz, Kozakiewicz, Zalewski, Wiśniowiecki, Hoszowski, utalentowany dyletant hr. Bolesław Starzeński i inni.

— P. **Oskar Sosnowski** przysłał na warszawską wystawę sztuk pięknych z Rzymu statuę średnich rozmiarów z karraryjskiego marmuru: „Matkę Boską Niepokalaną“ na globie stojącą, z rękami na piersiach na krzyż złożonemi, która odznacza się miękkością wykończenia, draperje jednak zanadto są zaokrąglone. Posąg ten ma swoje zalety, nie dorównywa jednak znakomitemu dziełu tego artysty „Chrystus w grobie“, znajdującemu się w kościele św. Józefa Oblubieńca, na Krakowskiém przedmieściu w Warszawie. (Dz. pol.)

* * *

Stały teatr Lubelski, uorganizowany pod dyrekcją p. **Sarneckiego**, komedjopisarza i **Texla**, artysty dramatycznego, ogłasza pierwsze przedstawienie w zabudowaniu letniem na dzień 2 maja r. b. Personal składa 25 artystów i artystek. (Op. Dom.)

* * *

— Pan **Władysław Miller**, b. artysta Warszawskiéj opery, ozdobiony został przez króla portugalskiego krzyżem kawalerskim orderu Chrystusa. Dzienniki lizbońskie bardzo pochlebnie oceniają talent p. Millera; najsympatyczniéj przyjmowano go w operze Marchettiego: Ruy-Blas i Verdiego: Don Carlos. Po ukończeniu szeregu wystąpień w Lizbonie i Madrycie, p. Miller powrócił do Medjolanu. (Dz. polski.)

— Nakładem J. Kaufmana w Warszawie wyszła kompozycja na fortepian **W. Kruzińskiego** p. t. „Wanda“.

* * *

Rozmaitości:

— Wielokrotnie porównywano nas **Polaków** z Francuzami i w rzeczy saméj naśladowaliśmy ich pod wielu względami, ale zamiast przyswajać sobie to, z czegobyśmy byli mogli korzystać w naszym bycie narodowym,

naśladowaliśmy niejedny z owych ułomności społecznych, które, w ostatnich czasach „Revue politique et littéraire“ scharakteryzowała w sposób następujący: „Rakiem toczącym kraj nasz i główną przyczyną upadku jego tak moralnego jak materjalnego jest pociąg nasz do pism lekkich i powierzchownych, — wstręt nasz do wszystkiego co poważne i rozumne, — popęd nasz namiętny do wszystkiego co z gruntu zepsute i skalane. — Polityka jest to studjum poważne i głębokie, ale my się lękamy wszelkiego umysłowego wysiłku. Tę lub ową kwestję zbadać sumiennie, rozważyć „pro“ i „contra“, wysłuchać tak jedną jak drugą stronę, rozsądzić spokojnie i z dojrzałą rozwagą otaczających nas ludzi i stosunki -- to już nie do nas należy. My ważniejsze mamy zajęcia a przynajmniéj ważniejsze mieliśmy za czasów cesarstwa! Gdy w owych czasach filozof sumiennie pracując nad jakiém zadaniem ekonomicznem lub politycznem, przyszedł do wniosku, który się nie zupełnie podobał cesarskim rządom, lub nie był im dość przychylnym, wytaczano mu proces i wtrącano do więzienia. Zniechęceni, zamilkli mężowie prawdziwéj wiedzy i nauki a na ich miejscu rozpostarli się gaduły i błazny, którzy potrafili bawić Ogół. Na cóż się zresztą było troszczyć o sprawy publiczne, na co uczyć się i nauczać? Cezar sam jeden tylko był rozumnym, oświeconym i wolnym! Życie zaś tak krótkie, — używajmy!......“

* * *

W jeziorze Łuptowskiém niedaleko miasta Kośliny na Pomorzu odkryto **budowle nawodne** czyli **palowe.** Bliższe o nich szczegóły podaje Gazeta Toruńska w numerze 112.

* * *

— **Hr. Aleksander Szembek** nadesłał do gabinetu archeologicznego uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie popielnice, oraz złomki bronzowe i żelazne z wykopaliska w Siemianicach w Ostrzeszowskiém — zaś pan **hr. M. Sołtan** darował bronzowe ozdoby znalezione w okolicach Oliwy.

* * *

— Z numeru 7 „Szczutka“ wychodzącego we Lwowie, wypisujemy następujący wiersz, który doskonale cechuje obojętność Narodu dla zasłużonych sobie mężów.

Sewerynowi Goszczyńskiemu.

Bywało dawniéj, kiedy harde Greki
Witały wieszczów przy ojców ognisku,
Lud biegł naprzeciw jako fale rzeki
By spleść ramiona w serdecznym uścisku,
I rozkoszował w tym radości szale,
Bo swoją chwałę widział w wieszcza chwale.

Po długoletniéj, ciężkiéj poniewierce
I ty powracasz do rodzinnéj strzechy,
Ufny, że dawne znajdziesz ono serce,
Źródło natchnienia i dusznéj pociechy;
Ufny, że zawsze między nami gości
Ów promień boży wiary i miłości!

Lecz próżno szukasz dziś gorętszéj dłoni,
Lub skry zapału u twéj młodszéj braci;
Szukaj więc garstki towarzyszów broni
Onać gorętszym uściskiem odpłaci,
Niż Pigmejczyków ta bezduszna rzesza,
Którym twój przyjazd słodką drzemkę miesza!

— „Dziennik polski“ wystosował następujący wiersz:

Sewerynowi Goszczyńskiemu
na powitanie.

Stary żurawiu, orle natchniony,
Coś tam — daleko, gdzieś siadł na skale,
I zełzawiony — i roztęskniony
Głęboko w sercu ukrył Twe żale.

I milczał długo; i cierpiał wiele,
A sercem, duszą rozumny,
Ukląkł — samotny — w wspomnień kościele
I wstawał — przyszłością dumny!

Dziś, gdy nam wkrótce wodzów nie stanie
I w koło cisza grobowa,
Witaj nam, siwy wieszczu-hetmanie,
Ty — mistrzu polskiego słowa!

O — wiedź nas teraz, wiedź na ruiny,
Teorban do drżącéj weź dłoni;
Wyśpiewaj ojców sławę i czyny,
I naucz nas walczyć — jak oni!

* * *

— Dziennik Polski, wychodzący we Lwowie donosi, iż tamże zawiązał się komitet kobiécy do zbierania składek na **oświatę ludową.** Między innemi panie należące do tego komitetu postanowiły kwestowanie coniedzielne w kościołach podczas nabożeństw, w czém je poparł gorąco czcigodny arcybiskup lwowski. U nas myśl podobna nie zyskałaby pewnie poparcia, jeżeli nie ściągnęłaby na się gromów prymasowskiego tronu.

* * *

— **Exkomunika narodowa.** Dziennik czeski „Swoboda“ zamieścił następującą odezwę: „Dr. F. L. Chleborad, dyrektor stowarzyszenia „Slavia“, sprzedał swoją posiadłość Zumpach **nieprzyjaciołom narodu czeskiego** właśnie w najważniejszéj dobie, kiedy przy wyborach jeden głos mógł zaważyć na szali. Naród czeski więc nie zna odtąd dr. Chleborada, znać go nie śmie, nie chcąc być własnym wrogiem. Dr. Fr. L. Chleborad — samobójca majestatu narodowego — wykreślony jest z rzędu żyjących dla sprawy narodowéj i społecznéj.“ — Kiedy też my Polacy zaczniemy exkomunikować tych, którzy wyłamując się z pod kodexu narodowego, sieją wieczną niezgodę......

* * *

— **Dr. Ludwik Léger** (którego życiorys skreślony przez Klemensa Kanteckiego przełożyło z pisma naszego „Moravska Matica“) odebrał od rządu francuzkiego polecenie odbycia podróży naukowéj po Rosji, gdzie ma śledzić za postępem nauk historycznych i etnologicznych, mianowicie zaś archeologji sławiańskiéj. Widzimy ztąd, że podczas gdy wśród nas tworzy się stronnictwo, które lgnąc na ślepo do szczepów romańskich, zapomina o swém posłannictwie względem sławiańszczyzny; ludy zachodnie odpychają nas od siebie, uważając Rosję za przedstawicielkę szczepów sławiańskich. Jeśli i nadal nie korzystając z doświadczenia, trzymać się będziem téj saméj polityki, tak nas z czasem Zachód pochłonie, że ani śladu po nas nie pozostanie, że znikniemy jak Obotryci, Rugianie i inne ludy sławiańskie zaginęły w czasach, gdy germańscy apostołowie mieczem i ogniem krzewili w Sławiańszczyznie wiarę miłości.

* * *

✝

W Krakowie zmarł 24go b. m.

Jerzy ks. Lubomirski,

jeden z tych rzadkich dziś mężów, którzy w całéj rozciągłości pojmują i wykonują piękną zasadę „Nobilitas obligat.“

OGŁOSZENIA.

Już wyszedł Iszy zeszyt dzieła

Encyklopedja Ogólna
wiedzy ludzkiéj,

wydawana staraniem red. Tyg. Illustrowanego. — Zeszyt Iszy od A do Akielewicz 80 st.

Całe dzieło wyjdzie w 48 zeszytach i to każdy co 15 dni. Prenumerata na tom składający się z 8 zeszytów wynosi **3 tal.** a dla prenumerujących Tyg. Illustrowany lub Wędrowiec tylko **1 tal. 15 sgr.** za tom, czyli $7^1|_2$ sgr. za zeszyt.

Zeszyt Iszy na żądanie przesyłają do przeglądu

Mieczysław Leitgeber i Sp.
(44) księgarnia i skład nut w Poznaniu.

Na oświatę ludu!

KSIĘGARNIA POLSKA we Lwowie. 12, ul. Kopernika, (dawniéj Szeroka), wydaje swoim nakładem w polskim przekładzie

DZIEJE POWSZECHNE
Fr. Ch. Szlosera,

z którego to wydawnictwa całkowity czysty dochód, mający wynosić 17 tysięcy złr. a w pomyślnym razie, przy większym udziale publiczności, przeszło 50 tysięcy, przeznacza się na oświatę ludu.

„DZIEJE POWSZECHNE“ Fr. Ch. Szlosera rozpoczną wychodzić w miesiącu lipcu b. r. i nieprzerwanie będą wychodziły po 2 zeszyty na miesiąc aż do ukończenia dzieła. Każdy zeszyt zawierać będzie 6 arkuszy druku czyli 96 str. dużéj 8ki. Cena zeszytu oznacza się na 35 centów tylko!

Przedpłata na całe dzieło z 96 zeszytów wynosi we Lwowie 33 złr. 60 c. z przesyłką w Austrji 35 złr. 52 c. W Prusach 24 tal., we Francji 125 franków. Po wyjściu z druku cena będzie podniesioną do 50 złr.

Uprasza się o nadsyłanie przedpłaty na całe dzieło, w ten sposób bowiem wiele ułatwi się wydawnictwo.

Przedpłatę można składać częściowo. Płaci się z góry za ostatni kwartał wydawnictwa i za pierwszy, a następnie w każdym kwartale odnawia się przedpłata z wyjątkiem już opłaconego ostatniego kwartału.

Przedpłata kwartalna wynosi we Lwowie 2 złr. 10 c. Z przesyłką w Austrji 2 złr. 22 c., w Prusach 1 tal. 15 sgr., we Francji i innych krajach 7.50.

Uprasza się o wczesne nadsyłanie prenumeraty, abyśmy mogli obliczyć ilość nakładu, a wiele na tém zależy, gdyż dodrukowywanie potém pociąga za sobą osobne koszta.

Prenumerata przyjmuje się do 1go lipca b. r. (39)

Prenumeratę nadsyłać należy pod adresem:

Do Księgarni Polskiéj, 12. ul. Kopernika we Lwowie.

W stuletnią rocznicę
pierwszego podziału Polski.

Szkic Historyczny
dziejów trzydziestoletniego panowania

Stanisława Augusta,
ostatniego króla polskiego.

Popularnie napisał (13)

Henryk Schmitt.

Z 8 rycinami rysunku **J. Kosaka, W. Eljasza.** Kraków, Nakładem Wydawnictwa „Czytelni ludowéj“ A. Nowoleckiego, jest do nabycia

za cenę 24 sgr.

w Ekspedycji Dziennika Poznańskiego, lub za pośrednictwem Redakcji naszego Tygodnika.

Poszukuje się dziełko wydane r. 1788 pod napisem

Głos za Suknią polską.

Zgłosić się do Administracji Dziennika Poznańskiego. (45)

Listy
ś. p. (46)

Ad. Mickiewicza
do
Pani Konstancji

są do nabycia za pośrednictwem Redakcji Tygodnika Wielkopolskiego po zniżonéj cenie — **10 sgr.**

Co dopiéro wyszło nakładem **M. Leitgebra i Spółki:**

Pamiętniki (43)

Jana Kilińskiego

szewca i pułkownika 20 regimentu. Z portretem Kilińskiego. 132 str. = **Cena tylko 6 sgr.**, z franko przesyłką **7 sgr.**

Nadto polecamy po cenie znacznie zniżonéj

Pamiętniki

Karola Ursyna Niemcewicza

z 1831 roku.

119 str. 20 sgr. Cena zniżona **tylko 7 sgr. 6 fen.**

M. Leitgeber i Sp.

Poznań, Plac Wilhelmowski Nr. 3ci.

Od 7go Lipca 1869 roku wychodzi w **Krakowie**

DJABEŁ

czasopismo ilustrowane satyryczne.

Prenumerata kwartalna w Wielk. Ks. Poznańskiém wraz z przesyłką wprost z Redakcji sgr. 22.

Prenumerować można także we wszystkich urzędach pocztowych pruskich i niemieckich po sgr. 22½ kwartalnie. (15)

Po **zniżonéj cenie** jest do nabycia za pośrednictwem Redakcji Tygodnika Wielkopolskiego

„Przegląd Wielkopolski“

w sześciu zeszytach za **talara.** Pojedyncze zeszyty, których cena sklepowa wynosi 3 złp. — nabyć można po 1½ złp. (33)

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.